

Dziecko w rodzinie



JANUSZ KORCZAK

JAK KOCHAĆ DZIECKO

Dziecko w rodzinie

Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstać; trumna nas odda, lecz nie spojrzysz na nas jak matka.

Anbelli

I

Jak, kiedy, ile — dlaczego?

Przeczuwam wiele pytań oczekujących odpowiedzi, wątpliwości poszukujących wyjaśnienia.

I odpowiadam:

— Nie wiem.

Ilekroć, odłożywszy książkę, snuć zaczniesz nic własnych myśli, tylekroć książka cel zamierzony osiąga. — Jeśli szybko przerzucając karty — odszukiwać będziesz przepisy i recepty, dążąc się, że ich mało, — wiedz, że jeśli są w niej rady i wskazówki, stało się tak nie pomimo a wbrew woli autora.

Nie wiem i wiedzieć nie mogę, jak nieznani mi rodzice mogą w nieznanym warunkach wychowywać nieznane mi dziecko, — podkreślam — mogą, a nie — pragną, a nie — powinni.

„Nie wiem” — w nauce jest mgławicą stawania się, wylaniania nowych myśli, coraz bliższych prawdy. Nie wiem, dla umysłu nie wdrożonego w naukowe myślenie, jest dręczącą pustką.

Chcę nauczyć rozumieć i kochać, cudowne, pełne życia i olśniewających niespodzianek — twórcze „nie wiem” współczesnej wiedzy odnośnie do dziecka.

Chcę, by zrozumiano, że żadna książka, żaden lekarz nie zastąpią własnej czujnej myśli, własnego uważnego spostrzegania.

Często spotkać się można ze zdaniem, że macierzyństwo uszlachetnia kobietę, że dopiero jako matka dojrzewa duchowo. Tak, macierzyństwo nasuwa płomiennymi zgłoskami zagadnienia, obejmujące wszystkie dziedziny życia zewnętrznego i duchowego; ale ich można nie dostrzedz, tchórzliwie odsunąć na odległą przyszłość, lub obruszać się, że ich rozwiązania kupić nie można.

Kazać komuś dać gotowe myśli, to polecić obcej kobiecie, by urodziła własne twe dziecko. Są myśli, które w bólu samemu rodzić trzeba, i te są najcenniejsze. One decydują, czy podasz, matko, pierś czy wymię, czy wychowywać je będziesz jak człowiek czy jak samica, czy kierować niem będziesz, czy wlec na rzemieniu przymusu, czy tylko, póki małe, bawić się niem będziesz, znajdując w pieszczocie z niem dopełnienie skąpych lub niemilych pieszczot małżonka; a później, gdy nieco podrośnie, puścisz je samopas, lub zwalczać zapragniesz.

2

Powiadasz:

„Moje dziecko”.

Kiedy jeśli nie w okresie ciąży, masz do tego największe prawo? Bicie małego jak pestka brzoskwini serca jest echem twego tętna. Twój oddech daje i jemu tlen powietrza. Wspólna krew przebiega w niem i w tobie, a żadna czerwona krwi kropla nie wie

jeszcze, czy pozostanie twoją lub jego, czy wylana będzie i umrze, jako danina, którą pobiera tajemnica poczęcia i porodu. Kęs chleba, który żujesz, to dla niego materiał do budowy nóg, na których biegać będzie, skóry, która je będzie okrywać, oczu, którymi patrzeć będzie, mózgu, w którym myśl zapłonie, rąk, które do ciebie wyciągnie, Uśmiechu, z którym zawoła: „mamo.”

Razem macie przeżyć stanowczą chwilę: wspólnie wspólnym bólem cierpieć bodzicie. Uderzy dzwon — hasło:

— Gotowe.

I jednocześnie ono powie: chcę żyć własnym życiem, ty powiesz: żyj teraz własnym życiem.

Silnemi skurczami trzewi wyrzucać je będziesz, nie dbając o jego ból, mocno i stanowczo przedzierać się ono będzie, nie dbając o twój ból.

Brutalny akt.

Nie — i ty i ono — wykonacie sto tysięcy drgień niedostrzegalnych; subtelnych, cudownie zręcznych, by zabierając swój dział życia, nie zabrało więcej, niż mu się z prawa należy, prawa powszechnego, odwiecznego.

— Moje dziecko.

Nie, nawet w ciągu miesięcy ciąży, ni w godzinach porodu, dziecko nie jest twoje.

3

Dziecko, które urodziłaś, waży 10 funtów.

Jest w niem ośm funtów wody i garść węgla, wapnia, azotu, siarki, fosforu, potasu, żelaza, Urodziłaś ośm funtów wody i dwa popiołu. A każda kropla tego *twojego* dziecka była parą chmury, kryształem śniegu, mgłą, rosą, zdrojem, mętem kanału miejskiego. Każdy atom węgla czy azotu wiązał się i rozwiązywał w miliony różnych połączeń.

Tys tylko zebrała to wszystko, co było.

Ziemia zawieszona w nieskończoności.

Blizki towarzysz — słońce — 50 milionów mil.

Średnica drobnej ziemi naszej, to tylko 3000 mil ognia z cienką na 10 mil skorupą ostygłą.

Na cienkiej skorupie, wypełnionej ogniem, wśród oceanów — rozrzucona garść łądu.

Na łądzie, wśród drzew i krzewów, owadów, plectwa, zwierząt — mrowią się ludzie.

Wśród milionów ludzi urodziłaś jeszcze jedno — co? — źdźbło, pyłek, — nic.

Takie to kruche, że je zabić może bakterja, która 1000 razy powiększona, jest dopiero punktem w polu widzenia...

Ale to *nic* jest bratem z krwi i kości fali morskiej, wichru, błyskawicy, słońca, drogi mlecznej. Ten pyłek jest bratem kłosu, trawy, dębu, palmy, — pisklęcia, lwiątka, żrebaka, szczenięcia.

Jest w niem, co czuje, bada, — cierpi, pragnie, raduje się, kocha, ufa, nienawidzi, — wierzy, wątpi, przygarnia i odrzuca.

Ten pyłek ogarnie myślą wszystko: gwiazdy i oceany, góry i przepaście. A czym jest treść duszy, jeśli nie wszechświatem, jeno bez wymiarów?

Oto sprzeczność w istocie człowieka, powstałej z prochu, w której Bóg zamieszkał.

4

— Powiadasz: — „moje dziecko”.

Nie, to dziecko wspólne, matki i ojca, dziadów i prapradziadów.

Czyjeś odległe ja, które spało w szeregu przodków, głos spróchniałej, dawno zapomnianej trumny, nagle przemawia w twem dziecku.

Trzysta lat temu, wśród wojny czy pokoju, ktoś kimś zawładnął, w kalejdoskopie krzyżujących się ras, narodów, klas, — za zgodą czy przemocą, w momencie przerażenia czy miłosnego upojenia — zdradził czy uwiódł, nikt nie wie, kto, kiedy, ale Bóg zapisał w księdze przeznaczeń, antropolog odgadnąć pragnie z kształtu czaszki czy barwy włosów.

Niekiedy dziecko wrażliwe fantazjuje, że jest podrzutkiem w domu rodziców. Tak bywa: jego rodzic umarł przed wiekiem.

Dziecko jest pergaminem, szczelnie zapisanym — drobnymi hieroglifami, których część tylko zdołasz odczytać, a niektóre potrafisz wytrzeć lub tylko zakreślić, i własną zapelnisz treścią.

Straszne prawo. — Nie, piękne. Ono w każdym twym dziecku daje pierwsze ogniwo w nieśmiertelnym łańcuchu pokoleń. Poszukuj tej uśpionej w twym cudzym dziecku własnej cząstki. Może dostrzeżesz, może nawet rozwiniiesz.

Dziecko i bezmiar.

Dziecko i wieczność.

Dziecko — pyłek w przestrzeni.

Dziecko — moment w czasie.

5

— Mówisz:

— Ono powinno... Chcę, by ono...

I szukasz wzoru, jakim być ma, szukasz życia, jakiego dlań pragniesz.

Nic to, że wokół miernota i przeciętność. Nic, że wokoło szarzyzna.

Ludzie drepcą, krzątają się, zabiegają, — drobne troski, nikłe dążenia, poziome cele...

Niespełnione nadzieje, gryzący żal, wieczysta tęsknota...

Krzywdą panuje.

Oschła obojętność lodem ścina, obłuda dech tłoczy.

Co ma kły i pazury, napastuje, co ciche wtula się w siebie.

I nie tylko cierpią, ale się szargają...

Kim ma być?

Bojownikiem, czy tylko pracownikiem, wodzem, czy szeregowcem? Czy tylko szczęśliwe?

Gdzie szczęście, czym — szczęście? Czy znasz drogę? Czy są, którzyby znali?

Czy podolasz?...

Jak przewidzieć, jak osłonić?

Motyl nad spienionym potokiem życia. Jak dać trwałość a nie obciążyć lotu, hartować a nie nużyć skrzydeł?

Więc przykładem własnym, pomocą, radą, słowem?

A jeśli odrzuci?

Za lat 15 — ono wpatrzone w przyszłość, ty — w przeszłość. W tobie wspomnienia i nawyki, w niem zmienność i harda nadzieja. Ty wątpisz, ono oczekuje i ufa, ty się lękasz, ono bez trwogi.

Młodość, jeśli nie drwi, nie wyklina, nie pogardza, zawsze pragnie zmienić wadliwą przeszłość.

Tak być winno. A jednak...

Niech poszukuje, byle nie błdziło, niech się wspina, byle nie upadło, niech karczuje, byle rąk nie pokrwawiło, niech się zмага, byle ostrożnie — ostrożnie.

Ono powie:

— Ja mam inne zdanie. Dość opieki.

Więc nie ufasz?

Więc niepotrzebną ci jestem?

Cięży ci moja miłość?

Dziecko nieopatrne, które nie znasz życia, dziecko biedne, dziecko niewdzięczne.

6

Niewdzięczne.

Czy ziemia wdzięczna słońcu, że świeci? Czy drzewo wdzięczne ziarnu, że z niego wyrosło? Czy słowik matce śpiewa, że go piersią grzała?

Czy oddajesz dziecku, co od rodziców wzięłeś, czy tylko pożyczasz, by odebrać, zapisując skrzętnie i obliczając procenty?

Czy miłość jest zasługą, za którą żądasz zapłaty.

„Matka-wrona miota się jak obłąkana, siada niemal na ramionach chłopca, czepia się dziobem jego kija, zwisa tuż nad nim i bije głową jak młotem w pień, odgryza małe

gałązki i kracze zachryplym, wysiłonym, suchym głosem rozpaczy. Gdy chłopak wyrzuci pisklę, rzuca się na ziemię z wlokącymi się skrzydłami, otwiera dziób, chce krakać — głosu niema, bije więc skrzydłami i skacze oszalała, śmieszna, do nóg chłopaka... Gdy zabiją wszystkie jej dzieci, wylatuje na drzewo, odwiedza puste gniazdo i kręcąc się na niem wkoło, myśli nad czemś.” Żeromski.

Miłość macierzyńska, to żywioł. Ludzie ją po swojemu zmienili. Cały świat cywilizowany, wyłączając nietkniętą kulturą jego masy, uprawia dzieciobójstwo. Małżeństwo, które ma dwoje dzieci, gdy mogło mieć dwanaścioro, to zabójcy dziesięciorga, które się nie urodziły, między którymi było jedno, właśnie to — „ich dziecko”. Między nieurodzonymi zabili może najcenniejsze.

Więc co czynić?

Należy wychowywać nie te dzieci, które się nie urodziły, a te, które się rodzą i żyć będą.

7

Czy zdrowe?

Jeszcze dziwno, że ono nie jest już nią samą. Jeszcze niedawno w zdwojonem życiu obawa o dziecko była częścią obawy o siebie.

Tak bardzo pragnęła, aby się już to skończyło, tak bardzo chciała mieć już tę chwilę poza sobą. Sądziła, że się uwolni od trosk i obaw.

A teraz?

Rzecz dziwna: dawniej dziecko było jej bliższe, bardziej własne, którego bezpieczeństwa była pewniejsza, które lepiej rozumiała. Sądziła, że wie, że będzie umiała. Z chwilą, gdy obce ręce — doświadczony, płatny, pewne siebie wzięły je w opiekę, sama odsunięta na drugi plan, czuje niepokój.

Świat je już zabiera.

I w długie godziny przymusowej beczynności zjawia się szereg pytań: co mu dałam, jak je wyposażałam, jak zabezpieczyłam?

Zdrowe? Więc czemu płacze?

Czemu chude, źle ssie, nie śpi, śpi tak wiele, dlaczego główkę ma dużą, nóżki porkurczone, piąstki zacisnięte, skórę czerwona, białe przyszyki na nosie, dlaczego zezuje, czka, kichnęło, krztusi się, ochrypło?

Tak być powinno? A może kłamią?

Patrzy na to małe, nieradne, niepodobne do żadnego z równie małych i bezzębnych, które widywała na ulicy, w ogrodzie. Czy być może, aby i ono też za trzy, cztery miesiące?

A może się mylą?

Może lekceważą?

Matka nieufnie słucha głosu lekarza, śledzi go wzrokiem: pragnie wyczytać z oczu, wzruszenia ramion, wzniesienia brwi, zmarszczki na czole: czy mówi prawdę, czy się nie waha, czy dostatecznie skupiony.

8

Ładne? Nie zależy mi na tem. Tak mówią nieszczerze matki, które chcą podkreślić swój poważny pogląd na zadania wychowawcze.

Uroda, wdzięk, postawa, mile brzmiący głos, to kapitał, który dałaś dziecku, jak zdrowie, jak rozum, ułatwia drogę życia. Nie należy przeceniać wartości urody, nie wsparta innemi, może przynieść szkodę. Tem bardziej wymaga czujnej myśli.

Inaczej wychowywać należy dziecko ładne, inaczej brzydkie. A że niema wychowania bez udziału dziecka, więc nie należy okrywać wstydliwie zagadnienia urody przed niem, gdyż to właśnie je psuje.

Ta niby pogarda dla urody jest przeżytkiem średniowiecza. Człowiek, wrażliwy na piękno kwiatu, motyla, pejzażu, miałby być obojętny na piękno człowieka?

Chcesz okryć przed dzieckiem, że ładne? Jeśli mu tego nie powie żadna z licznych osób, które je otaczają w domu, powiedzą mu to obcy ludzie na ulicy, w sklepie, w ogrodzie, wszędzie — okrzykiem, uśmiechem, spojrzaniem, dorośli czy rówieśnicy. Powie mu

to upośledzenie dzieci brzydkich i szpetnych. Ono rozumie, że uroda daje przywileje, jak rozumie, że ręka jest jego ręką, którą się może posługiwać.

Jak słabe dziecko może się rozwijać pomyślnie, a zdrowe uleść katastrofie, tak ładne może być nieszczęśliwe, a uzbrojone w pancerz brzydoty — niewyróżniane, niedostrzeżone, może żyć szczęśliwie. Bo musisz, musisz, pamiętać, że życie każdą wartość dodatnią, dostrzegłszy, że cenna, zapagnie kupić, wyludzić lub ukraść. Na tej równowadze tysięcznych drgnień wylaniają się niespodzianki, które wychowawcę zdumiewają w bolesnym częstokroć: dlaczego?

— Nie zależy mi na modzie!

Rozpoczynasz od błędu i fałszu.

9

Czy mądre?

Jeśli matka zrazu zapytuje trwoźnie, niezadługo będzie żądała.

Jedz, choć syt jesteś, choćby z obrzydzeniem; idź spać bodaj ze łzami, choć godzinę czekać będziesz na sen. Bo musisz, bo żądam, abyś było zdrowe.

Nie baw się piaskiem, noś obcisłe spodenki, nie targaj włosków, bo żądam, byś było ładne.

— Ono jeszcze nie mówi... Ono jest starsze od... a pomimo to jeszcze... Ono się źle uczy...

Zamiast patrzeć, by poznać i wiedzieć, bierze się pierwszy z bręga przykład „udanego dziecka” — i stawia żądanie własnemu: oto wzór, do którego masz być podobne.

Nie wolno, by zamożnych rodziców dziecko zostało rzemieślnikiem. Niech raczej będzie nieszczęśliwym uczniem i zdemoralizowanym człowiekiem. Nie miłość dziecka, a egoizm rodziców, nie dobro jednostki: a ambicja gromady, nie szukanie dróg a pęta szablonu.

Są umysłowości czynne i biernie, żywe i apatyczne, wytrwałe i kapryśne, uległe i przekorne, twórcze i naśladowcze, błyskotliwe i gruntowne, konkretne i abstrakcyjne, realne i literackie; pamięć wybitna i mierna; spryt w posługiwaniu się zdobytą wiadomością i uczciwość wahań, wrodzony despotyzm i refleksyjność i krytycyzm; jest rozwój przedwczesny i opóźniony, jedno lub różnorodność zainteresowań.

Ale co to kogo obchodzi?

— Niech skończy przynajmniej cztery klasy — mówi rodzicielska rezygnacja.

Przeczuwając świetny renesans pracy fizycznej, widzę do niej kandydatów ze wszystkich klas społecznych.

Tymczasem walka rodziców i szkoły z każdą wyjątkową, nietypową, słabą czy nierównoważoną inteligencją.

Nie — czy mądre, raczej — jak mądre.

10

Dobre dziecko.

Strzedz się należy, by nie mieszać dobre z — wygodne.

Mało płacze, w nocy nas nie budzi, ufne, pogodne — dobre.

Złe, kapryśne, krzykliwe bez widomego powodu, daje matce więcej przykrych wzruszeń, niż miłych.

Niezależnie od samopoczucia, są noworodki dziedzicznie mniej i więcej cierpliwe. Tu wystarcza jednostka dolegliwości, by dać reakcję dziesięciu jednostek krzyku, tam inne na dziesięć jednostek niedomogi reaguje jednostką płaczu.

Jedno ospałe, ruchy leniwe, ssanie powolne, krzyk bez żywego napięcia, wyraźnego afektu.

Drugie pobudliwe, ruchy żywe, sen czujny, ssanie zapalczywe, krzyk aż do sinicy.

Zaniesie się, oddech traci, cucić je trzeba, niekiedy z trudem powraca do życia. Wiem: choroba, leczymy ją tranem, fosforem, bezmleczną dyjetą. Ale ta choroba pozwala niemowlęciu wyrosnąć na dojrzałego człowieka o potężnej woli, żywiołowem parciu i genialnym umyśle. Napoleon zanosił się w niemowlęctwie.

Całe wychowanie współczesne pragnie, by dziecko było wygodne, konsekwentnie krok za krokiem dąży, by uspić, stłumić, zniszczyć wszystko, co jest wolą i wolnością dziecka, hartem jego ducha, siłą jego żądań i zamierzeń.

— Grzeczny, posłuszny, dobry, wygodny, a bez myśli o tem, że będzie bezwolny wewnętrznie i niedołączny życiowo.

II

Bolesną niespodzianką, z którą spotyka się młoda matka, jest krzyk dziecka.

Wiedziała, że dzieci płaczą, ale myśląc o własnem, przeoczyła; oczekiwała tylko czerwonnych uśmiechów.

Będzie przestrzegała jego potrzeb, wychowywać będzie rozumnie, współcześnie, pod kierunkiem doświadczzonego lekarza. Jej dziecko nie powinno płakać.

Ale przychodzi noc, gdy oszołomiona, z żywym echem przeżytych ciężkich godzin, które wieki trwały. Ledwie poczuła słodycz znużenia bez troski, rozleniwienia bez wyrzutu, spoczynku po dokonanej pracy, rozpaczliwym wysiłku, pierwszym w wydelikacjonem życiu. Ledwo uległa złudzeniu, że się skończyło, bo ono — to drugie — samo już oddycha, Pograżona w ciche wzruszenia, zdolna zadawać tylko pełne tajemniczych szeptów pytania naturze, nie żądając nawet odpowiedzi.

Gdy nagle...

Krzyk despotyczny dziecka, które czegoś żąda, na coś się skarży, pomocy się domaga, a ona nie rozumie.

Czuwaj!

— Kiedy nie mogę, nie chcę, nie wiem.

Ten pierwszy krzyk przy świetle nocnej lampki jest zapowiedzią walki zdwojonego życia: jedno życie dojrzałe, zmuszane od ustępstw, zrzeczeń, ofiar, broni się; drugie nowe, młode, które wywalcza — własne — dla siebie prawa.

Dzisiaj nie oskarżasz go; ono nie rozumie, cierpi. Ale jest na tarczy czasu godzina, gdy powiesz w przyszłości: i ja czuję, i ja cierpię.

I2

Są noworodki i niemowlęta, które mało płaczą, tem lepiej. Ale są i takie, którym w krzyku na czole nabrzmiewają żyły, wypina się ciemniaczko, szkarłatny kolor zalewa twarz i głowę, sinieją wargi, drży bezzębna szczęka, brzuch się wzdyma, pięści kurczowo ściskają, nogi biją powietrze. Nagle milknie bezsilnie, z wyrazem zupełnego poddania, „z wyrzutem” spogląda na matkę, mruży oczy z błaganiem o sen, i po paru szybkich oddechach, znów podobny, a może jeszcze silniejszy atak krzyku.

Czy być może, aby to wytrzymały drobne płuca, małe serce, młody mózg?

Ratunku, lekarza!

Wieki mijają nim przyszedł, wysłuchał z pobłażliwym uśmiechem jej obaw, taki obcy, nieprzystępny, zawodowiec, dla którego to dziecko jest jednym z tysiąca. Przyszedł, by za chwilę odejść do innych cierpień, słuchać innych skarg, przyszedł teraz, kiedy jest dzień, wszystko zdaje się być weselszem: bo słońce, bo ludzie chodzą po ulicy, przyszedł, gdy dziecko akurat śpi, zapewne ostatecznie wyczerpane po bezsennych godzinach, kiedy ledwo znać ślady nikle upiornej nocy.

Matka słucha, niekiedy nieuważnie słucha. Jej marzenie o lekarzu przyjacielu, kierowniku pracy, przewodniku mozolnej podróży, bezpowrotnie pierzcha.

Wręcza honorarium i pozostaje znów sama z gorzkim przeświadczeniem, że lekarz jest obojętnym obcym człowiekiem, który nie zrozumie. A zresztą sam się waha, nic stanowczego nie orzekł.

I3

Gdyby młoda matka wiedziała, jak decydujące są te pierwsze dni i tygodnie, nie tyle dla zdrowia dziecka dzisiaj, ile dla przyszłości obojga.

A jak je łatwo zmarnować!

Zamiast stwierdziwszy, pogodzić się z myślą, że na nikogo, jeno na siebie liczyć może, że jak dla lekarza jej dziecko o tyle jest przedmiotem zainteresowania, o ile przynosi

dochód lub zadowolnia ambicję, tak samo dla świata ono jest niczem, tylko dla niej cenne...

Zamiast pogodzić się ze współczesnym stanem nauki, która domyśla się, usiłuje wiedzieć, bada i kroczy na przód — wie, ale niema pewności, przynosi pomoc, ale nie daje gwarancji...

Zamiast mężnie stwierdzić: wychowanie dziecka, to nie miła zabawa, a zadanie, w które trzeba włożyć wysiłek bezsennych nocy, kapitał ciężkich przeżyć i wiele myśli...

Zamiast przetopić to w ogniu uczucia na rzetelną świadomość, bez złudzeń, bez dziecinnego zadąsania i samolubnej goryczy, ona może dziecko wraz z piastunką przenieść do odległego pokoju, bo „niezdolna patrzeć” na cierpienie małego, „niezdolna słuchać” bolesnego wzywania, może znów i znów zwoływać lekarza i lekarzy, nie zdobywszy żadnego z doświadczeń, tylko zmaltretowana, oszołomiona, ogłupiała.

Jak naiwną jest radość matki, że rozumie pierwszą niewyraźną mowę dziecka, zgaduje przekrecone i niedomówione wyrazy.

Dopiero teraz?... Tylko tyle?... Nie więcej?

A mowa płaczu i uśmiechu, mowa spojrzenia i skrzywienia ust, mowa ruchów i ssa-
nia?...

Nie zrzekaj się tych nocy. One dają to, czego nie da książka, niczyja rada. Bo tu wartość nietylko w wiedzy, ale w głębokim przewrocie duchowym, który nie pozwala powracać do jałowych rozmyślań: co byby mogło, co być powinno, co byłoby dobrze, gdyby... ale uczy działać w warunkach, które są.

Podczas tych nocy urodzić się może cudowny sprzymierzeniec anioł-stróż dziecka, — intuicja macierzyńskiego serca, jasnowidzenie, na które się składają: badawcza wola, czujna myśl, niezacmione uczucie.

I4

Bywało tak niekiedy: wzywa mnie matka.

— Właściwie dziecko jest zdrowe, nic mu nie jest. Tylko chciałabym, żeby je pan zobaczył.

Oglądam, daję parę wskazówek, odpowiadam na pytania. Ależ zdrowe, miłe, wesołe.

— Do zobaczenia.

I tegoż wieczora lub nazajutrz:

— Panie doktorze, dziecko ma gorączkę.

Matka dostrzegła to, czego ja lekarz nie umiałem wyczytać w powierzchownym badaniu w ciągu krótkiej wizyty.

Godzinami pochylona nad małym, nie mając metody obserwacji, nie wie, co dostrzegła, nie ufając sobie, nie odważa się przyznać do poczynionych subtelnych spostrzeżeń.

A zauważyła, że dziecko, które nie ma chrypki, ma jednak głos cokolwiek mato-
wy. Gaworzy cokolwiek mniej, lub ciszej. Raz drgnęło we śnie trochę silniej, niż zwykle. Roześmiało się po obudzeniu, ale słabiej. Ssało cokolwiek wolniej, może z dłuższymi pau-
zami, jakby roztargnione. Czy podczas śmiechu się skrzywiło, a może się tylko zdawało? Ulubioną zabawkę rzuciło z gniewem: dlaczego?

Stu objawami, które dostrzegło jej oko, ucho, brodawka piersi, stu mikroskargami powiedziało:

— Jestem niedysponowane. Nietęgo się dziś czuję.

Matka nie wierzyła, że widzi to, co widziała, bo o żadnym z podobnych objawów nie czytała w książce.

I5

Na bezpłatny ambulans szpitalny przynosi matka-wyrobnica kilkotygodniowe niemowlę:

— Nie chce ssać. Ledwo chwyci brodawkę, puszcza z krzykiem. Z łyżeczki pije chci-
wie. Czasem przez sen albo w ciągu czuwania, krzyknie nagle.

Oglądam usta, gardło — nie widzę nic.

— Proszę mu dać pierś.

Dziecko liże brodawkę wargami, nie chce ssać.

— Ono się zrobiło takie nieufne.

Wreszcie chwytą pierś, szybko, jakby z rozpaczą pociąga kilkakrotnie, puszcza ją z krzykiem.

— Niech pan zobaczy: ono ma coś na dziąsélku.

Patrzę po raz drugi, zacerwienie, ale dziwne: tylko na jednym dziąśle.

— O, tu, coś czarnego, ząb czy co?

Widzę: twarde, żółte, owalne, z czarną kreską na obwodzie. Podważam, porusza się, unoszę, pod niem małe wgłębienie czerwone z krwawymi brzegami.

Wreszcie mam owo „coś” w ręce: jest to łuska siemienia.

Nad kołyską dziecka wisi klatka z kanarkiem. Kanarek rzucił łuskę, spadła na wargę, prześlizgnęła do ust, wpiła w dziąsło.

Bieg mojej myśli: stomatitis catarrhalis, soor, stom. aphtosa, gingivitis, angina i t. d.

Ona: ból, coś w ustach.

Ja dwa razy czyniłem poszukiwania... A ona?...

I6

Jeśli niekiedy zdumiewa lekarza ścisłość i drobiazgowość obserwacji, to z drugiej strony stwierdza z równym zdumieniem, że matka częstokroć nie umie już nie zrozumieć, ale dojrzeć najprostszego objawu.

Dziecko od urodzenia płacze, nic więcej nie widziała. Ciągłe płacze!

Czy płacz wybucha nagle i odrazu dosięga szczytu, czy zawodzenie żalosalne stopniowo przechodzi w krzyk? Czy szybko się uspokaja, natychmiast po oddaniu stolca lub uryny lub wymiotach (czy splunięciu pokarmu) czy krzyknie nagle gwałtownie przy kąpielu, ubieraniu, podnoszeniu? Czy żali się, płacząc przeciągle, bez wybuchów nagłych? Jakie przytem wykonywa ruchy? Czy trze głową o poduszkę, czy wargami wykonywa ruchy ssania? Czy uspokaja się, gdy je nosić, gdy się je rozwinię, położy na brzuchu, często zmienia pozycję? Czy po płaczu zasypia głęboko i na długo, czy budzi się za lada szmerem? Płacze przed czy po ssaniu, więcej zrana, wieczorem i w nocy?

Czy uspokaja się podczas ssania? na jak długo? Czy ssać nie chce? Jak nie chce? Czy wypuszcza brodawkę, ledwie do ust wzięło, czy przy polykaniu, nagle czy po pewnym czasie? Czy nie chce stanowczo, czy je można nakłonić do ssania? Jak ssie? dlaczego nie ssie?

Jeśli zakatarzone, jak ssać będzie? Chciwie i mocno bo spragnione, potem szybko i powierzchownie, nierówno z pauzami, bo tchu brak. Dodaj bolesność przy lykaniu, co będzie?

Płacz bywa nietylko z głodu i bólu „brzuszka”, ale bólu warg, dziąsél, języka, gardła, nosa, palca, ucha, kości, bólu zadrapanego przez lewatywę otworu stolcowego, bolesnego urynowania, mdłości, pragnienia, przegrzania, swędzenia skóry, na której jeszcze niema wysypki, ale będzie za parę miesięcy, płacz z powodu szorstkiej tasiemki, fałdy pieluchy, źdźbła waty, która utkwiała w gardle, łuski siemienia z klatki kanarka.

Wezwij lekarza na dziesięć minut, ale i sama patrz dwadzieścia godzin.

I7

Książka z jej gotowymi formułami przytępiła wzrok i rozleniwiła myśl. Żyjąc cudzem doświadczeniem, badaniem, poglądem, tak dalece zatracono ufność w siebie, że nie chcą sami patrzeć. Jakgdyby to, co zawiera zadrukowana bibuła, było objawieniem, a nie produktem badania — tylko czyjegoś, nie mojego, czynionego gdzieś nad kimś, a nie dziś, nad moim dzieckiem.

A szkoła wyrobiła tchórzostwo, obawę, by nie zdradzić się, że nie wiem.

Ile razy matka, spisawszy na kartce pytania, które chce zadać lekarzowi, nie zdobywa się, by je wypowiedzieć. A jak wyjątkowo rzadko da mu kartkę, — bo tam — „popisała głupstwa”.

Sama ukrywając, że nie wie, ile razy zmusza lekarza, by skrył wątpliwości, wahania, — by orzekł stanowczo. — Jak niechętnie przyjmuje szeroki ogół odpowiedzi warunkowe, jak nie lubi, gdy lekarz głośno myśli nad kołyską, jak często lekarz zmuszony by był prorokiem, — staje się szarlatanem.

Niekiedy rodzice nie chcą wiedzieć tego, co wiedzą — i widzieć tego, co widzą.

Poród w sferze, gdzie panuje fanatyzm wygody, jest czemś tak jedynym i złośliwie wyjątkowym, że matka kategorycznie żąda od natury sowitej nagrody. Jeśli zgodziła się na zrzeczenia, przykrości, dolegliwości ciąży i cierpienia porodu, — dziecko powinno być takie, jakiego pragnęła.

Gorzej: przywykły, że za pieniądze wszystko kupić można, nie chce pogodzić się z faktem, że istnieje coś, co może otrzymać nędzarz, czego nie wyżebrze magnat.

Ileż razy, w poszukiwaniu tego, co opatrzone na rynku handlowym wspólną etykietą „zdrowie” rodzice kupują falsyfikaty, które bądź nie pomogą, bądź przyniosą szkodę.

18

Dla niemowlęcia pierś matki, bez względu na to, czy urodziło się, bo Bóg pobłogosławił małżeństwo, czy — że dziewczyna straciła wstyd; czy matka szepce: „mój skarbie”, czy wzdycha „co ja pocznę nieboga”, czy jaśnie oświeconej pokornie winszują, czy rzucą wiejskiej dziewczusze: „tfuj, ścierka”.

Prostytucja, która służy na użytek mężczyzny, znajduje swe dopełnienie społeczne w mamczarstwie na użytek kobiety.

Należy mieć pełną świadomość uświęconej krwawej zbrodni na biednym dziecku — nawet nie dla dobra bogatego. — Bo mamka może karmić dwoje dzieci: własne i cudze. Gruczoł mleczny daje tyle mleka, ile od niego żądają. A mamka właśnie wówczas traci pokarm, gdy dziecko mniej wypija, niż go pierś daje:

Formuła: obfita pierś, drobne dziecko, utrata pokarmu.

Rzecz dziwna: w mniej ważnych przypadkach skłonni jesteśmy zasięgać rad wielu lekarzy, w tak ważnym, czy matka może karmić, poprzestajemy na jednej, niekiedy nie-szczerej, podszeptanej przez kogoś z otoczenia radzie.

Każda matka może karmić, każda ma dostateczną ilość pokarmu; tylko nieznajomość techniki karmienia pozbawia ją przyrodzonej zdolności.

Bóle w piersiach, nadżarcia brodawek stanowią pewną przeszkodę: ale tu cierpienie okupuje się przez świadomość, że matka całą ciężę przetrwała, nie zrzucając żadnego z ciężarów na barki kupionej niewolnicy. Bo karmienie jest dalszym ciągiem ciąży „jeno dziecko zwewnątrz przeniosło się nazewnątrz, odcięte od łóżyska, pochwyciło pierś, nie czerwona a białą krew pije”.

Pije krew? — Tak, matki, bo to prawo natury, nie zgłodzonego brata mlecznego, co jest prawem ludzi.

19

Możeby i ja napisał sennik egipski higieny dla użytku matek.

„Trzy i pół kilo wagi przy urodzeniu, znaczy: zdrowie, pomyślność”.

„Stołeczki zielone, flegmiste: niepokój, przykra wiadomość”.

Możeby i ja ułożył skarbczyk miłosny rad i wskazówek.

Ale przekonałem się, że niema przepisu, którego by nie doprowadziła do absurdu bezkrytyczna krańcowość.

Stary system:

Pierś trzydzieści razy na dobę, naprzemian z „rycynką”. Niemowlę przechodzi z rąk do rąk, kołysane i bujane przez wszystkich członków rodziny, całowane przez wszystkie zakatarzone ciotki. Niosą do okna, do lustra, klaszczą, grzechocą, śpiewają, — jarmark.

Nowy system:

Co trzy godziny pierś. Dziecko, widząc przygotowania do uczty, niecierpliwi się, gniewa, płacze. Matka patrzy na zegar: jeszcze cztery minuty. Dziecko śpi, matka budzi, bo godzina wybiła; głodne odrywa od piersi, bo upłynęły minuty. Leży — nie wolno poruszyć. Nie przyzwyczajaj do noszenia! Wykąpane, suche, syte, powinno spać. Nie śpi. Trzeba chodzić na palcach, okna zasłonić. Sala szpitalna, morga.

Nie — myśl pracuje, a przepis nakazuje.

20

Nie: „jak często karmić”, a: „ile razy na dobę”.

Tak postawione pytanie daje matce swobodę: niech sama rozłoży godziny, jak lepiej dla niej i dla dziecka.

Ile więc razy dziecko ssać powinno na dobę?

Od czterech do piętnastu razy.

Jak długo leżeć przy piersi?

Od czterech minut do trzech kwadransy i dłużej.

Spotykamy: łatwo i trudno idące piersi, z ubogim i obfitym pokarmem, z brodawką dobrą i złą, wytrzymałą i urażliwą. Spotykamy dzieci mocno, kapryśnie i leniwie ssące. Więc niema ogólnego przepisu.

Przykłady:

Brodawka źle rozwinięta, ale wytrzymała; noworodek ochoczy. Niech często i długo ssie, by „wystąpić” pierś.

Pierś bogata, niemowlę słabe. Może lepiej przed ssaniem odstrzyknąć część pokarmu, by zmusić dziecko do wysiłku. Nie może podolać? Więc dać pierś, a pozostałość odstrzyknąć.

Pierś nieco trudna, dziecko ospałe. Po dziesięciu minutach dopiero pić zaczyna.

Jeden ruch lękania może przypadać na jeden, dwa, pięć ruchów ssania. Ilość mleka w lęku może być mniejsza i większa.

Liże pierś, pociąga ale nie lęka, rzadko, często lęka.

„Po brodzie mu leci”. Może dlatego, że wiele pokarmu, może dlatego, że pokarmu mało, że wygłodzone mocno pociąga, i zachłyśnie się, ale tylko pierwszymi paru lękami.

Jak można bez matki i dziecka dawać przepisy?

„Pięć racyj na dobę po dziesięć minut każda” to schemat.

2.1

Bez wagi niema techniki karmienia piersią. Wszystko co uczynimy, będzie grą w ślepej babkę.

Prócz wagi, niema sposobu, by dowiedzieć się, czy dziecko wyssało trzy czy dziesięć łyżek stołowych mleka.

A od tego zależy, jak często, jak długo, z obu czy jednej piersi ssać powinno.

Waga może być nieomylnym doradcą, gdy mówi co jest, może stać się tyranem, gdy zechcemy otrzymać schemat „normalnego” wzrostu dziecka. Obyśmy z przesądu o „zielonych stołczkach” nie wpadli w przesady o „idealnych krzywych”.

Jak ważyć?

Rzecz godna zaznaczenia, są matki, które wiele setek godzin strawiły na gamy i etiudy, a trud poznania się z wagą uważają za zbyt uciążliwy. Ważyć przed i po ssaniu? Aż tyle zachodu! Są inne, które nie troskliwością, ale czułością otaczają wagę, tego ukochanego domowego lekarza.

Tanie wagi dla niemowląt, takie ich rozpowszechnienie, by zablądziły pod strzechy, to zagadnienie społeczne. Kto je podejmie?

2.2

Czem się dzieje, że jedno pokolenie dzieci wyrosło pod hasłem: mleko, jaja, mięso; drugie otrzymuje kasze, jarzyny i owoce?

Mógłbym odpowiedzieć: postępy chemji, badania nad przemianą materji.

Nie, istota zmiany sięga głębiej.

Nowa dyjeta jest wyrazem zaufania nauki do żywego ustroju, tolerancji dla jego woli.

Gdy podawano białka i tłuszcze, chciano zmusić ustrój do rozwoju specjalnie dobraną dyjetą, dziś dajemy wszystko: niech żywy organizm sam wybiera, co mu potrzebne, co przyniesie pożytek, niech sam zarządza w zakresie posiadanych sił, aktywów otrzymanego zdrowia, potencjalnej energii rozwoju.

Nieco dajemy dziecku, a co ono przyswaja. Bo każdy gwałt i nadmiar, to balast, każda jednostronność, to możliwy błąd.

Nawet bliżcy prawdy, możemy popełnić jednostkę błędu, a powtarzając ją konsekwentnie w ciągu szeregu miesięcy, szkodzimy, bądź utrudniamy pracę.

Kiedy, jak, czem dokarmiać?

Wówczas gdy dziecku nie wystarczy wyssany litr mleka, stopniowo, czekając zawsze na reakcję ustroju, dokarmiać wszystkim, zależnie od dziecka, od jego odpowiedzi.

23

A mączki?

Należy odróżniać naukę o zdrowiu od handlu zdrowiem.

Płyn na porost włosów, eliksyr do zębów, puder odmładzający cerę, mączki ułatwiające ząbkowanie, to częstokroć hańba nauki, a nigdy jej duma, porywy i dążenia.

Fabrykant zapewni mączką i normalne stolce i efektowną wagę, da to, co matkę cieszy a dziecko smakuje. Ale nie da tkankom sprawności w przyswajaniu, może je rozleniwi, nie da żywotności, może otłuszczając, obniży nawet; nie da odporności przeciw zarazie.

A zawsze dyskredytuje pierś, wprowadzie oględnie, budząc wątpliwości, ubocznie, podkopując się zwolna, kusząc i dogadzając słabostkom tłumowi.

Powie ktoś: nazwiska o wszechświatowej sławie wyrażają uznanie. Ależ uczeni są ludźmi: są między nimi mniej i więcej przenikliwi, ostrożni i lekkomyślni, uczciwi i fałszerze. Iluż jest generałów nauki nie geniuszem a sprytem lub przywilejem majątku i urodzenia! Nauka wymaga kosztownych warsztatów, które nie tylko dają istotną wartość, ale i układność, i uległość, i intryga.

Byłem obecny na posiedzeniu, gdzie bezczelny tupet rabował pracę dwunastoletniego sumiennego badania. Znam odkrycie, które spreparowano na głośny zjazd międzynarodowy. Odżywczy preparat, którego wartość potwierdziło kilkadziesiąt „gwiazd” okazał się fałszyfikatem; był proces: szybko zatuszowano skandal.

Nie: kto pochwalił mączkę, a kto nie chciał jej chwalić, mimo zabiegi, starania i prośby agentów i fabrykanta. A oni umieją usilnie zabiegać, uporczywie prosić, bardzo nalegać. Milionowe przedsiębiorstwa mają wpływy; to siła, której nie każdy się oprze.

24

Dziecko gorączkuje. Katar.

Czy mu nic nie grozi? Kiedy będzie zdrowe?

Nasza odpowiedź jest wypadkową szeregu rozumowań, opartych na tem, co wiemy i co zdołaliśmy dostrzedz.

A więc: silne dziecko zwalczy słabą zarazę w dzień lub dwa. Jeśli zaraza silniejsza lub dziecko słabsze, niedomaganie może potrwać tydzień. Zobaczymy.

Albo: cierpienie drobne, ale dziecko młode. Zakatarzenie u niemowląt często przechodzi ze śluzówki nosa na gardło, tchawicę, oskrzela. Przekonamy się.

Wreszcie: na sto podobnych przypadków, dziewięćdziesiąt kończy się rychłym powrotem do zdrowia, w siedmiu przeciąga się niedomaganie, w trzech rozwija się choroba, może nastąpić śmierć.

Zastrzeżenie: a może lekkie zakatarzenie maskuje inne cierpienie?...

Ale matka chce mieć pewność, a nie przypuszczenia.

Można rozpoznanie dopełnić przez badanie wydzieliny nosa, uryny, krwi, płynu mózgowo-rodzeniowego, można prześwietlić, przywołać specjalistów. Wzrośnie odsetka prawdopodobieństwa w rozpoznaniu i rokowaniu, nawet w leczeniu. Ale czy ten plus nie zrównoważy się szkodą wielokrotnych badań, obecnością wielu lekarzy, z których każdy może przynieść groźniejszą zarazę we włosach, fałdach odzieży, w oddechu.

Gdzie ono mogło się zakatarzyć?

Można było uniknąć.

A czy ta drobna zaraza nie uodpornia dziecka przeciw silniejszej, z którą się spotka za tydzień, za miesiąc, czy nie doskonalili mechanizmu obrony: w ośrodku termicznym mózgu, gruczołach, częściach składowych krwi? Czy możemy izolować dziecko od powietrza, którym oddycha, a które w jednym centymetrze sześciennym zawiera tysiące bakterij...

Czy to nowe starcie między tem, czegośmy pragnęli, a czemu ulegać musimy, nie będzie jeszcze jedną próbą uzbrojenia matki nie w wykształcenie, ale rozum, bez którego dobrze dziecka nie wychowa.

25

Dopóki śmierć kosila położnice, niewiele myślano o noworodku. Dostrzeżono go, gdy aseptyka i technika pomocy zabezpieczyły życie matki. Dopóki śmierć kosila niemowlęta, cała uwaga nauki skierowana być musiała na flaszkę i pieluchę. Teraz może niezadługo już obok wegetacyjnego, dostrzeżemy wyraźne oblicze, życie i rozwój psychiczny dziecka do roku. Co do tej pory zrobiono, nie jest jeszcze początkiem pracy.

Nieskończony szereg zagadnień psychologicznych i stojących na pograniczu między soma i psyche niemowlęcia.

Napoleon miał tężyczkę, Bismark był rachitykiem, a już bezspornie każdy z proroków i zbrodniarzy, bohaterów i zdrajców, wielkich i małych, atletów i mizeraków, był niemowlęciem, zanim stał się dojrzałym człowiekiem. Jeśli chcemy badać ameby myśli, uczuć i dążeń, zanim rozwinęły się, zróżniczkowały i zdefiniowały, do niego musimy się zwrócić.

Tylko bezgraniczna ignorancja i powierzchowność patrzenia mogą przeoczyć, że niemowlę uosabia pewną ściśle określoną indywidualność, złożoną z wrodzonego temperamentu, siły intelektu, samopoczucia i doświadczeń życiowych.

26

Sto niemowląt. Nachylam się nad łóżkiem każdego z nich. Są, które liczą życie na tygodnie i miesiące, o różnej wadze i różnej przeszłości swej „krzywej”, chore, ozdrowieńcy, zdrowe, i ledwo utrzymujące się jeszcze na powierzchni życia.

Spotykam różne spojrzenia, od przygasłych, mgłą zasnutych, bez wyrazu, poprzez uparte i boleśnie skupione, do żywych, serdecznych, zaczepnych. I uśmiech powitalny, nagły, przyjazny lub uśmiech po chwili bacznej obserwacji, lub uśmiech dopiero jako odpowiedź na uśmiech i pieszczotliwe słowo — pobudkę.

Co mi się zrazu zdaje przypadkiem, powtarza się w ciągu wielu dni. Notuję, wyodrębniam ufne i nieufne, równe i kapryśne, pogodne i chmurne, niepewne, zalęknione i wrogie.

Stale pogodne: uśmiecha się przed i po ssaniu, zbudzone ze snu i snem morzone, uniesie powiekę, uśmiechnie się i zaśnie. Stale chmurne: z niepokojem wita, blizkie płaczu, w ciągu trzech tygodni uśmiechnęło się przelotnie tylko raz...

Oglądam gardła. Protest żywy, burzliwy, namiętny. Albo tylko niechętnie skrzywienie, niecierpliwy ruch głowy, i już uśmiech życzliwy. Albo podejrzliwa czujność na każdy ruch obcej ręki, wybuch gniewu, zanim jeszcze doznało...

Szczepienie ospy masowe; po pięćdziesiąt w ciągu godziny. To już eksperyment. Znów u jednych reakcja natychmiastowa i stanowcza, u drugich stopniowa i niepewna, u trzecich — obojętność. Jedno poprzestaje na zdziwieniu, drugie dochodzi do niepokoju, trzecie uderza na alarm; jedno szybko powraca do równowagi, drugie długo pamięta, nie przebacza...

Powie ktoś: wiek niemowlęcia. Tak, ale do pewnego stopnia tylko. Szybkość orjentowania się, wspomnienia ubiegłych przeżyć. O, znamy dzieci, które nabrały bolesnego doświadczenia ze znajomości z chirurgiem, wiemy że są, które nie chcą pić mleka, bo im dawano białą emulsję z kamforą.

Ale cóż innego składa się na wyraz psychiczny dojrzałego człowieka?

27

Jedno niemowlę.

Urodziło się, już pogodzone z chłodem powietrza, szorstką pieluchą, niepokojem dźwięków, pracą ssania. Ssanie pracowite, wyrachowane i śmiałe. Już się uśmiecha, już gaworzy, już włada rękami. Rośnie, bada, doskonali się, czułga, chodzi, paple, mówi. Jak i kiedy się to dokonało?

Pogodny bez chmury rozwój...

Niemowlę drugie.

Upłynął tydzień, zanim nauczyło się ssać. Parę niespokojnych nocy. Tydzień bez tro-
ski, jednodniowa burza. Rozwój cokolwiek ospały, ząbkowanie uciążliwe. Naogół, różnie
bywało, teraz już wszystko w porządku: spokojne, miłe, ucieszne.

Może urodzony flegmatyk, niedość rozważna opieka, pierś niedość sprawna, rozwój
szczęśliwy...

Niemowlę trzecie.

Gwałtowne. Wesole, łatwo się podnieca, zaczepione przez niemile wrażenie zzewnątrz
lub zzewnątrz, walczy rozpaczliwie, nie szczędzi energii. Ruchy żywe, zmiany nagłe, dziś
niepodobne do wczoraj. Uczy się i zapomina naprzemian. Rozwój o linii łamanej, o sil-
nych wzniesieniach i spadkach. Niespodzianki od najmilszych do pozornie groźnych.
Niepodobna powiedzieć: nareszcie.

Eretyk, drażliwiec, kapryśna siła, może znaczna wartość...

Czwarte niemowlę.

Jeśli obliczyć dni słoneczne i dżdżyste, pierwszych będzie niewiele. Niezadowolenie,
jako tło zasadnicze. Niema bólu, są niemile sensacje; niema wrzasku, jest niepokój. Byłoby
dobrze, gdyby... Nigdy bez zastrzeżenia.

To dziecko ze skazą, nierozumnie chowane...

Temperatura pokoju, nadmiar stu gramów mleka, brak stu gramów wody do picia,
to wpływy nietylko higieniczne, ale i wychowawcze. Niemowlę, które ma tyle zbadać,
domyśleć się; poznać, przyswoić, pokochać i nienawidzić, rozumnie bronić i domagać,
musi mieć dobre samopoczucie, niezależnie od wrodzonego temperamentu, wrodzonej
lotnej lub ospałej inteligencji.

28

Wzrok. Światło i ciemność, noc i dzień. Sen, dzieje się coś bardzo słabego, czuwanie,
dzieje się silniej; coś dobrego (pierś) lub złego (ból). Noworodek patrzy na lampę. Nie
patrzy: gałki oczne rozchodzą się i schodzą. Później, wodząc wzrokiem za przedmiotem,
poruszonym powoli, fiksuje go i gubi co moment.

Kontury cieni, zarys pierwszych linii, a wszystko bez perspektywy, Matka w odległo-
ści metra jest już innym cieniem, niż pochylona blisko. Profil twarzy, jak sierp księżycy,
tylko podbródek i usta, gdy patrzy z dołu, leżąc na kolanach, też sama twarz z oczami,
jeszcze inaczej, z włosami, gdy bardziej się pochyli. A słuch i węch, mówią, że to to samo.

Pierś, jasna chmura, smak, zapach, ciepło, dobro. Niemowlę puszcza pierś i patrzy,
bada wzrokiem to dziwne coś, które ukazuje się stale nad piersią, skąd płyną dźwięki
i powiewa ciepły strumień oddechu. Niemowlę nie wie, że pierś, twarz, ręce, stanowią
jedną całość, — matkę.

Ktoś obcy wyciąga ręce. Zwiedzione znajomym ruchem, obrazem, chętnie w nie
przechodzi. Teraz dopiero spostrzega błąd. Tym razem ręce oddalają je od znajomego
cienia, zbliżają do czegoś obcego, wzbudzającego obawę. Rochem nagłym zwraca się ku
matce, i znów bezpieczne, patrzy i dziwi się lub chowa za ramię matczyne, by uniknąć
niebezpieczeństwa.

Wreszcie twarz matki przestaje być cieniem, zbadana rękami. Niemowlę wielokrotnie
chwytało za nos, dotykało oka dziwnego, które naprzemian błyska, to znów matowe pod
przykryciem powieki, badało włosy. A kto nie widział, jak odchyła wargi, ogląda zęby,
zagłada do ust, skupione, poważne, z marsmem na czole. Tylko że mu przeszkadza czza
gadanina, pocałunki, żarty, — to co nazywamy „bawieniem” dziecka. My się bawimy,
ono studjuje. Ono już ma pewniki, przypuszczenia i zagadnienia w toku badań.

29

Słuch. Od szmeru ulicy poza szybami okien, odgłosów odległych, tykania zegara, rozmów
i stuków, aż do bezpośrednio do dziecka zwróconych szepcików i słów, wszystko to tworzy
chaos podrażnień, które musi rozklasyfikować i zrozumieć.

Tu dodać należy dźwięki, które niemowlę samo wydaje, więc krzyk, gaworzenie, po-
mruki. Zanim pozna, że ono samo, a nie ktoś niewidzialny gaworzy i krzyczy, — upływa

wiele czasu. Gdy leży i mówi swoje: abb, aba, ada, ono słucha i bada uczucia, których doznaje przez poruszanie warg, języka, krtani. Nie znając siebie, stwierdza tylko dowolność tworzenia tych dźwięków.

Gdy do niemowlęcia przemawiam jego własnym językiem: aba, abb, adda — zdumione przygląda mi się, — tajemniczej istocie, wydającej dobrze mu znane odgłosy.

Gdybyśmy głębiej wmyśleli się w istotę świadomości niemowlęcia, znaleźlibyśmy w niej znacznie więcej, niż sądzimy, tylko nie to i nie tak, jak sądzimy. Biedne dzi-dzi, biedne małeństwo głodne, chce papu, chce mlimli. Niemowlę doskonale rozumie, czeka na rozpięcie stanika przez karmicielkę, założenie chusteczki pod brodę, niecierpliwi się, gdy opóźnią ostatecznie oczekiwane wrażenie. A jednak tę całą długą tyradę matka wygłosiła do siebie, nie do dziecka. Ono prędzej utrwaliłoby te głosy, któremi gospodyni przywołuje ptactwo domowe: cip-cip-taś-taś.

Niemowlę myśli oczekiwaniem miłych wrażeń i obawą przykrych, że myśli nie tylko obrazami, ale i dźwiękami, sądzić można choćby z zaraźliwości krzyku: krzyk zwiastuje nieszczęście, lub: krzyk automatycznie wprowadza w ruch aparat, wyrażający niezadowolenie. Uważnie przyjrzyjcie się niemowlęciu, gdy słucha płaczu drugiego.

30

Niemowlę dąży mozolnie do opanowania zewnętrznego świata: pragnie zwalczyć otaczające je złe wrogie moce, zmusić do służenia swej pomysłowości dobre opiekuńcze duchy. Niemowlę ma dwa zaklęcia, któremi się posługuje, zanim zdobędzie trzecie cudowne narzędzie woli: własne ręce. Te dwa zaklęcia są: krzyk i ssanie.

Jeśli zrazu niemowlę krzyczy, że mu coś dolega, szybko uczy krzyczeć, żeby mu nie dolegało. Pozostawione samo, płacze, ale uspokaja się, słysząc kroki matki, chce ssać, płacze, ale płakać przestaje, gdy widzi przygotowania do karmienia.

Ono zarządza w zakresie posiadanych wiadomości (mało ich ma) i rozporządzanych środków (słabe są). Popelnia błędy, generalizując poszczególne zjawiska i wiążąc dwa następujące po sobie fakty, jako przyczynę i skutek (post hoc, propter hoc). Czy zajęcie i sympatia, jaką darzy swe trzewiki, nie w tem ma źródło, że trzewikom przypisuje swą zdolność chodzenia? Tak samo płaszczek jest tym czarodziejskim dywanem z bajki, który przenosi je w świat dziwów — na spacer.

Podobne przypuszczenia mam prawo czynić. Jeśli historyk ma prawo domyślać się, czego chciał Szekspir tworząc Hamleta, ma prawo pedagog czynić nawet błędne przypuszczenia, które w braku innych dają mu jednak praktyczne wyniki.

A więc:

W pokoju duszno. Niemowlę ma suche wargi, mało i gęstą, ciągnącą się ślinę, kaprysi. Mleko jest pożywieniem, a jemu chce się pić, więc dać mu wodę. Ale ono „nie chce pić”: kręci głową, wytrąca z rąk łyżkę. Ono chce pić, tylko nie umie jeszcze. Czując na wargach pożądany płyn, rzuca głową, szuka brodawki. Unieruchomiam mu głowę lewą ręką, łyżkę przykładam do górnej wargi. Ono nie pije, a ssie wodę, chciwie ssie, wypilo pięć łyżek i spokojnie zasypia. Jeśli raz i drugi niezręcznie podam mu płyn z łyżki, ono zakrztusi się i dozna przykrości, — wówczas naprawdę z łyżki pić nie chce.

Przykład drugi:

Niemowlę stale kapryśne, niezadowolone, uspokaja się przy piersi, podczas przewijania, kąpieli, przy częstej zmianie pozycji. To niemowlę ma swędzącą wysypkę. Odpowiadają, że niema wysypki. Zapewne będzie. I po dwóch miesiącach wysypka się zjawia.

Trzeci przykład:

Niemowlę śsie swe ręce, gdy mu coś dolega, wszelkie przykre doznania, więc i niepokój niecierpliwego oczekiwania, pragnie ukoić dobroczynnym dobrze mu znanym ssaniem. Ssie pięści, gdy głodne, spragnione, gdy przekarmiane ma niesmak w ustach, gdy ma ból, gdy przegrzane, gdy swędzi je skóra lub dziąsła. Zkąd pochodzi, że lekarz zapowiada zęby, że niemowlę doznaje wyraźnie przykrych uczuć w szczęce czy dziąsłach, a zęby się nie pokazują w ciągu wielu tygodni? Czy przeryzujący się ząb nie drażni drobnych gałązek nerwu już w samej kości? Tu dodam, że ciele, zanim mu rogi wyrosną, cierpi podobnie.

I tu taką jest droga: instynkt ssania, ssanie, żeby nie było cierpienia, ssanie, jako przyjemność czy nałóg.

31

Powtarzam: zasadniczym tonem, treścią psychicznego życia niemowlęcia jest dążenie do opanowania nieznanego żywiołu, tajemnicy otaczającego je świata, skąd płynie dobro i zło. Chcąc opanować, pragnie wiedzieć.

Powtarzam: dobre samopoczucie ułatwia mu obiektywne badanie, wszelkie przykre uczucia, płynące z wnętrza jego ustroju, więc w pierwszym rzędzie ból, zaciemniają chwijną świadomość. Ażeby się o tem przekonać, trzeba mu się przyglądać w zdrowiu, cierpieniu i chorobie.

Odczuwając ból, niemowlę nie tylko krzyczy, ale i słyszy krzyk, odczuwa ten krzyk w gardle, widzi go poprzez przymrużone powieki w zamazanych obrazach. Wszystko to jest silne, wrogie, groźne, niepojęte. Ono musi dobrze pamiętać te chwile, bać się ich; a nie znając jeszcze siebie, wiąże je z przypadkowymi obrazami. I tu zapewne mamy źródło wielu niezrozumiałych w niemowlęciu sympaty, antypaty, obaw i dziwactw.

Badanie nad rozwojem intelektu niemowlęcia są niezmiernie trudne, bo ono powielokrotnie uczy się i zapomina, jest to rozwój z szeregiem okresów posunięć, zacisza i cofań. Może chwiejność samopoczucia jego gra w tem ważną, może najważniejszą rolę.

Niemowlę bada swe ręce. Prostuje, wodzi w prawo i w lewo, oddala, zbliża, rozstawia palce, zaciska w pięść, mówi do nich i czeka na odpowiedź, prawą chwyta lewą rękę i ciągnie, bierze grzechotkę i patrzy na dziwnie zmieniony obraz ręki, przekłada ją z jednej do drugiej bada ustami, natychmiast wyjmuję, i znów patrzy powoli, uważnie. Rzuca grzechotkę, pociąga za guzik kołdry, bada powód doznanego oporu. Ono nie bawi się, miejcież do licha oczy i dostrzeżcie w niem wysiłek woli, by zrozumieć. To uczony w laboratorium, wmyślony w zagadnienie najwyższej wagi, a które wyslizguje się jego rozumieniu.

Niemowlę narzuca swą wolę przez krzyk. Później przez mimikę twarzy i rąk, wreszcie już — przez mowę.

32

Wczesny ranek, powiedzmy, godzina piąta.

Obudziło się, uśmiecha, gaworzy, wodzi rękami, siada, wstaje. Matka chce spać jeszcze.

Konflikt dwóch chceń, dwóch potrzeb, dwóch ścierających się egoizmów; trzeci moment jednego procesu: matka cierpi, a dziecko rodzi się do życia; matka chce spocząć po porodzie, dziecko żąda pokarmu; matka chce śnić, dziecko pragnie czuć; będzie ich długi szereg. To nie drobiazg a zagadnienie; miej odwagę własnych uczuć, i oddając je płatnej piastunce, powiedz wyraźnie: „nie chcę”, choćby ci lekarz powiedział, że nie możesz, bo on to zawsze powie na pierwszym piętze od frontu, a nigdy na facjacie.

Może być i tak: matka oddaje dziecku swój sen, ale żąda wzamian zapłaty; więc całuje, pieści, tuli ciepłą, różową, jedwabną istotkę. Czuwaj: to wątpliwy akt egzaltowanej zmysłowości, ukryty a przyzajony w miłości macierzyńskiego nie serca a ciała. Wiedz, że jeśli dziecko chętnie tulić się będzie, zarumienione od stu pocałunków, z błyszczącymi radością oczami, to znaczy, że twój erotyzm znajduje w niem oddźwięk.

Więc wyrzec się pocałunku? Tego nie mogę żądać, uznając pocałunek, rozumnie dozwolony, za cenny czynnik wychowawczy; pocałunek koi ból, łagodzi ostre słowa napomnienia, budzi skrucę, nagradza za wysiłek, jest symbolem miłości, jak krzyż symbolem wiary, i działa jako taki, mówię, że jest, a nie że być powinien. A zresztą, jeśli ta dziwna chęć tulenia, głaskania, wachania, wchłaniania dziecka w siebie nie budzi wątpliwości, czyn jak chcesz. Ja nic nie zabraniam ani nakazuję.

33

Gdy patrzę na niemowlę, jak otwiera i zamyka pudełko, wkłada w nie i wyjmuję kamyczek, potrząsa i słucha; roczniak ciągnie stół, ugina się pod ciężarem na niepewnych nogach; dwulatek, gdy mu mówią, że krowa, to „muu”, dodaje: „ada — muu”, a „ada” jest imieniem psa domowego; popełnia przelociczne błędy językowe, które należy notować i ogłaszać.

Gdy wśród rupieci niedoroślęcia widzę gwoździe, sznurki, szmatki, szkiełka, bo to „się przyda” do wykonania stu zamierzeń; gdy się próbuje, kto dalej „skoknie”, pracuje, krząta, organizuje wspólną zabawę; zapytuje: „czy jak ja myślę o drzewie, to mam w głowie maluśkie drzewko”; daje dziadkowi nie dwojaka, żeby dostać dobrą notę, ale dwadzieścia sześć groszy, cały majątek, bo on taki stary i biedny i niedługo umrze.

Gdy wyrostek ślini czuprynę, żeby była gładka, bo ma przyjść koleżanka siostry; gdy mi pisze w liście dziewczynka, że świat podły a ludzie zwierzęta, a zamilcza dlaczego; gdy młodziak rzuca dumnie buntowniczą, tak już oklepaną, zjełczałą myśl, wyzwanie...

O, ja całuję te dzieci, wzrokiem, myślą, pytaniem: czym jesteście, cudowna tajemnico, co niesiecie? całuję wysiłkiem woli: czym mogę wam pomóc? Całuję je tak, jak astronom całuje gwiazdę, która była, jest, będzie. Ten pocałunek winien zajmować równe miejsce między ekstazą uczonego i korną modlitwą; ale nie dozna jego czaru, kto poszukując wolności, zagubił w tłoku Boga.

34

Dziecko jeszcze nie mówi. Kiedy zacznie mówić?

Mowa jest wprawdzie wskaźnikiem rozwoju dziecka, ale ani jednym ani najważniejszym. Niecierpliwe oczekiwanie pierwszego wyrazu jest błędem, dowodem wychowawczej niedojrzałości rodziców.

Jeśli noworodek w kąpielu drgnie i rzuci rękami, utraciwszy równowagę: mówi „boję się” i niezmiernie ciekawy jest ten odruch lęku u istoty, tak dalekiej od rozumienia niebezpieczeństwa. Dajesz mu pierś, nie bierze, mówi: „nie chcę”. Wyciąga ręce po pożądany przedmiot: „daj”. Ustami krzywionymi do płaczu i ruchem obronnym mówi obcemu; „nie ufam ci”, niekiedy zapytuje matkę: „czy można mu zaufać”?

Czym jest badawcze spojrzenie dziecka, jeśli nie pytaniem: „co to”? Sięga po coś, z mozołem zdobywa, wzdycha głęboko, i tem westchnieniem ulgi mówi: „nareszcie”. Spróbuj odebrać, dziesiątkiem odcieni powie ci: „nie oddam”. Unosi głowę, siada, wstaje: „działam”, czym jest uśmiech ust i oczów, jeśli nie: „o, jak mi dobrze na świecie”.

Mową mimiczną mówi, mową obrazów i uczuciowych wspomnień myśli.

Kładzie mu matka płaszczyk, cieszy się, korpusem zwraca w stronę drzwi, niecierpliw się, przynagla do pośpiechu. Myśli obrazami przechadzki i wspomnieniem doznanych na niej uczuć. Niemowlę przyjaźnie odnosi się do lekarza, ale widząc łyżkę w jego ręce, odrazu poznaje wroga.

Ono rozumie mowę, nie słów, ale mimiki i modulacji głosu.

— Gdzie masz nosek?

Nie rozumiejąc żadnego z trzech wyrazów, wie z głosu, ruchu warg, wyrazu twarzy, że żądają od niego danej odpowiedzi.

Niemowlę umie przeprowadzić bardzo złożoną rozmowę, nie umiejąc mówić.

— Nie rusz, powiada matka.

Ono mimo to sięga po zakazany przedmiot, wdzięcznie przechyla głowę, uśmiecha się, bada, czy matka surowiej wznowi zakaz, czy rozbrojona wyrafinowaną kokieterią, ustąpi, pozwoli.

Nie powiedziawszy ani jednego jeszcze wyrazu, ono kłamie, bezwstydnie kłamie. Chcąc się uwolnić od niemiłej osoby, daje znak umówiony, groźny sygnał, i siedząc na wiadomem naczyniu, tryumfująco a drwiąco spogląda na otoczenie.

Spróbuj zażartować z niego, dając i cofając przedmiot, którego żąda, ono się niezawsze rozgniewa, niekiedy tylko, obrazi.

Niemowlę umie bez słów być despota, napierać się natrętnie, tyranizować.

35

Bardzo często, gdy lekarz zadaje pytanie, kiedy dziecko mówić i chodzić zaczęło, matka zażenowana daje nieśmiało przybliżoną odpowiedź:

— Wcześniej, późno, normalnie.

Sądzi, że data tak ważnego faktu powinna być ścisła, że każda wątpliwość rzuci na nią złe światło w oczach lekarza, wspominam o tem, by dowieść, jak niepopularną jest wśród ogółu świadomość, że nawet ścisła naukowa obserwacja z trudem tylko potrafi

nakreślić przybliżoną linię rozwoju dziecka, jak pospolitą jest sztubacka chęć ukrycia swej niewiedzy.

Jak odróżnić, kiedy niemowlę zamiast: am an i ama, powiedziało po raz pierwszy: mama, zamiast: abba — baba. Jak określić, kiedy wyraz: mama, związany jest już ściśle w jego umyśle z obrazem matki i żadnym innym?

Niemowlę podskakuje na kolanach, stoi podtrzymywane lub samo się opierając o krawędź łóżka, stoi chwilę bez pomocy, zrobiło parę kroków po podłodze i wiele kroków w powietrzu, suwa się, pelza, czołga, suwa przed sobą krzesło, nie tracąc równowagi, ćwierć, pół i trzy ćwierci chodzenie, zanim chodzi wreszcie. I tu, wczoraj, tydzień cały chodziło, i znów nie umie. Cokolwiek znużone, straciło natchnienie. Przewróciło się i przelękło, boi się. Pauza dwutygodniowa.

Główka, bezwładnie opadająca na ramię matki, to nie dowód ciężkiej niemocy, a każdego niedomagania.

Dziecko w każdym nowym ruchu podobne jest do pianisty, któremu potrzebne dobre samopoczucie, zupełna równowaga, by z powodzeniem trudną kompozycję odegrać; nawet wyjątki od tego prawidła podobne są do siebie. Niekiedy dziecko „już było słabe, ale się nie dawało i jeszcze więcej może chodziło, bawiło się, mówiło”; tu następuje samooskarżenie: „więc myślałam, że mi się tylko zdaje, że słabe, i wyszłam z niem na spacer”; usprawiedliwienie: „taka była ładna pogoda”, i pytanie: „czy to mu mogło zaszkodzić?”

36

Kiedy dziecko powinno już chodzić i mówić? Wtedy, kiedy chodzi i mówi. Kiedy powinny się wyrzynać ząbki? Akurat wtedy, kiedy się wyrzynają. I ciemiączko wtedy powinno zarosnąć, kiedy właśnie zarasta. I niemowlę tyle godzin spać powinno, ile mu potrzeba, aby było wyspane.

Ależ wiemy, kiedy się to naogół odbywa. W każdej popularnej broszurce przepisane są z podręczników te drobne prawdy dla ogółu dzieci, a kłamstwa, dla twego jednego.

Bo są niemowlęta, które wymagają więcej i mniej snu, są wczesne, zgniłe już w okresie wyrzynania się zęby i późne zdrowe zęby zdrowych dzieci, ciemię zarasta w dziewiątym i czternastym miesiącu życia u zdrowych dzieci, głuptasy wczesnie zaczynają paplać, mądre niekiedy długo nie mówią.

Numery dorożek, rzędy krzeseł w teatrze, termin płacenia komornego, wszystko to, co dla porządku wymyślili ludzie, może być przestrzegane: ale kto umysłem, wychowanym na policyjnych przepisach, zechce sięgnąć po żywą księgę natury, temu się na łeb zwali całym olbrzymim ciężarem niepokojów, rozczarowań i niespodzianek.

Poczytuję tobie za zasługę, że na powyższe pytania odpowiedziałem nie szeregiem liczb, które nazwałem drobnymi prawdami. Boć nie to ważne, czy się naprzód dolne czy górne, siekacze czy kły wyrzynają, to może dostrzedz każdy, kto ma kalendarz i oczy, ale czym jest żywy ustrój i czego mu potrzeba, to jest wielka ale dopiero w toku badań prawda.

Nawet uczciwi lekarze mieć muszą dwie miary postępowania: u rozumnych rodziców są przyrodnikami, mają wątpliwości, przypuszczenia, trudne zagadnienia i ciekawe pytania; u nierozumnych są oschłymi guwernerami: stąd dotąd, i znak paznokciem na elementarzu.

Co dwie godziny łyżeczka.

— Jajeczko, pół szklanki mleka i dwa biszkopciki.

37

Bacność. Albo porozumiemy się teraz, albo rozejdziemy na zawsze. Każda myśl, która pragnie się wymknąć i ukryć, każde wałęsające się samopas uczucie, winny być przywołane do porządku i ustawione w karnym szeregu przez wysiłek woli.

Wzywam o magna charta libertatis, o prawa dziecka. Może jest ich więcej, ja odszukałem trzy zasadnicze:

1. Prawo dziecka do śmierci.
2. Prawo dziecka do dnia dzisiejszego.
3. Prawo dziecka, by było tem, czem jest.

Trzeba je poznać, by przy udzieleniu tych praw popełnić możliwie najmniej pomyłek. Pomyłki być muszą. Nie trwóżmy się ich: korygować je będzie samo ze zdumiewającą czujnością, byleśmy nie osłabili cennej zdolności, potężnej siły obronnej.

Daliśmy zbyt wiele jedzenia lub niewłaściwe, zawiele mleka, nieswieże jajko, — wymiotowało. Daliśmy niestrawną wiadomość — niezrozumiało, bezwartościową radę, nie strawiło, nie posłuchało. To nie czczy frazes, gdy mówię: szczęście dla ludzkości, że nie możemy zmusić dzieci, by ulegały wpływowi wychowawczym i dydaktycznym zamachom na ich zdrowy rozum i zdrową ludzką wolę.

38

Gorąca, rozumna, zrównoważona miłość matki do dziecka musi dać mu prawo do przedwczesnej śmierci, do zakończenia cyklu życia nie w sześćdziesięciu obrotach ziemi dokoła słońca, a w jednej czy trzech tylko wiosnach. Okrutne żądanie dla tych, którzy nie chcą ponosić trudów i kosztów połogu więcej, niż raz, dwa razy.

— Bóg dał, Bóg wziął, mówi lud — przyrodnik, który wie, że nie każde ziarno daje kłos, nie każde pisklę rodzi się zdolne do życia, nie każda krzewina wybuja w drzewo.

Kołać się zdanie, że im większa śmiertelność wśród dzieci proletariatu, tem silniejsze pokolenie pozostaje przy życiu i wzrasta. Nie: złe warunki, które zabijają słabe, osłabiają silne i zdrowe. Natomiast prawdą mi się zdaje, że im bardziej przeraża matkę sfer zamownych myśl o możliwej śmierci jej dziecka, tem mniej znajdzie ono warunków, by stać się bodaj tylko pomyślnie rozwiniętym fizycznie i jako tako samodzielnym duchowo człowiekiem. Ileż w olejno malowanym na biało pokoju, wśród białolakierowanych sprzętów, w białej sukience z białymi zabawkami widzę białe dziecko, doznając przykrego uczucia: w tym nie dzieciennym pokoju, a sali chirurgicznej, musi się wychować bezkrwista dusza w anemicznym ciele.

„W tym białym salonie z elektryczną gruszką w każdym kącie, można dostać epilepsji” — mówi Klaudyna. Może ściślejsze badania dowiodą, że przekarmianie nerwów, tkanek światłem jest równie szkodliwe, jak brak światła w mrocznej suterynie.

Mamy dwa wyrazy: swoboda i wolność. Swoboda, zda mi się, oznacza posiadanie: rozporządzam swoją osobą. W wolności mamy pierwiastek woli, więc czynu, zrodzonego z dążenia. Nasz pokój dziecienny z symetrycznie ustawionymi meblami, nasze wylizane ogrody miejskie, nie są terenem, gdzie może się przejawiać swoboda, ani warsztatem, gdzie znalazłaby narzędzia czynna wola dziecka.

Pokój małego dziecka wyłonił się z kliniki akuszerskiej, a tej dyktowała przepisy bakterjologa. Baczmy, by strzegąc od bakterji dyfterytu, nie przenieść dziecka w atmosferę przesyconą stęchlizną nudy i bezwoli. Niema dziś zaduchu suszonych pieluch, ale jest duch jodoformu.

39

Ku-ku, biedne dzidzi, gdzie masz boli.

Dziecko z trudem odszukuje nikielne ślady onegdajszych zadrapań, wskazuje na miejsce, gdzie byłby siniak, gdyby się mocniej było uderzyło, dochodzi do mistrzostwa w odnajdywaniu krostek, plamek i znaczków.

Jeśli każdemu „boli” towarzyszą ton, gest i mimika bezsilnej pokory, beznadziejnej rezygnacji, to „fe-be, brzydkie” łączą się z przejawami obrzydzenia i nienawiści. Trzeba widzieć, jak niemowlę trzyma ręce, zawalane czekoladką, cały jego wstręt i bezradność, zanim mama wytrze batystową chustką, — by zadać pytanie:

— Czy nie lepiej było, gdy dzieciak, uderzywszy łbem o krzesło, wymierzał krzesłu policzek; a przy myciu, z pełnymi mydła oczami, pluł i kopał niańkę?...

Drzwi — przyciśnie palec, okno — wychyli się i wypadnie, pestka — udławi się, krzesło, przewróci na siebie, nóż — skaleczy, patyk, oko wybije, podniosło z ziemi pudelko, zarazi się, zapalka, pożar, spali się.

— Złamiesz rękę, przejadą cię, pies ukąsi. Nie jedz śliwek, nie pij wody, nie chodź bos, nie biegaj po słońcu, zapnij palto, zawiąż szalik. Widzisz: nie słuchałeś. Patrz: kulawy, patrz: ślepy. „Ratunku” krew, kto ci dał nożyczki?

Uderzenie nie jest sińcem, a obawą zapalenia mózgu, wymioty nie dyspepsją a obawą szkarlatyny. Wszędzie pełno pułapek i niebezpieczeństw, wszystko groźne i złowieszcze.

I jeśli dziecko uwierzy, nie zje potajemnie funta niedojrzałych śliwek, i zmyliwszy czujność gdzieś w kącie z biciem serca, nie zapali zapalki, jeśli posłusznie, biernie, ufnie podda się żądaniu unikania wszelkich doświadczeń, zrzeczenia prób, odrzucenia wysiłków, każdego odruchu woli, co pocznie, gdy w sobie, we wnętrzu swej duchowej istoty odczuje coś, co rani, parzy, kąsa?

Czy macie plan, jak wznosić dziecko od niemowlęctwa poprzez dzieciństwo w okres dojrzewania, gdy jak piorun spadnie na nią niespodzianka krwi, a na niego erekcji i nocnego zmazania?

Tak, jeszcze pierś ssie, a ja już zapytuję, jak ono rodzić będzie. Bo to zagadnienie, nad którym nie zawiele myśleć dwa dziesiątki lat.

40

W obawie, by śmierć nie wydarła dziecka, wydieramy dziecko życiu; nie chcąc, by umarło, nie pozwalamy mu żyć. Wychowani sami w deprawującym bezwładnym oczekiwaniu tego, co będzie, ciągle spieszymy się w czarów pełną przyszłość. Leniwi nie chcemy szukać piękna w dniu dzisiejszym, aby przygotować się na dostojne przyjęcie jutrzejszego poranku: jutro samo ma przynieść natchnienie. Czem jest owo: „gdyby już chodziło, mówiło” — czem, jeśli nie histerją oczekiwania?

Będzie chodziło, będzie objąło boki o twarde kanty dębowych krzesel. Będzie mówiło, będzie mello językiem sieczkę codziennej szarzyzny. Czem to dziś dziecka gorsze, beczenniejsze od jutra? Jeśli o trud chodzi, ono będzie trudniejsze.

Gdy wreszcie jest już jutro, czekamy na nowe. Bo zasadniczy pogląd: dziecko nie jest a będzie, nie wie a będzie wiedziało, nie może, a dopiero będzie mogło, zmusza do ciągłego oczekiwania.

Połowa ludzkości nie istnieje; jej życie — to żart, dążenia naiwne, uczucia przelotne, poglądy śmieszne. Dzieci różnią się od dorosłych, w ich życiu czegoś brak, a czegoś jest więcej, niż w naszym, ale to odmienne od naszego życie jest rzeczywistością, nie przywidzeniem. Co uczyniliśmy, by je poznać i stworzyć warunki, w których mogłoby istnieć i dojrzewać?

Obawa o życie dziecka zażębia obawę kalectwa, obawa kalectwa zahacza o konieczną dla zdrowia czystość, tu pas zakazów przerzucony na nowe koło: czystość i bezpieczeństwo sukni, pończochy, krawata, rękawiczki, trzewika; już nie dziura na czole a na kolanie spodni. Nie zdrowie i dobro dziecka, a nasza ambicja i kieszeń. Nowy pas zakazów i nakazów porusza koło własnej naszej wygody:

— Nie biegaj, bo wpadniesz pod konie. Nie biegaj, bo się spocisz. Nie biegaj, bo się zabłocisz. Nie biegaj, bo mnie głowa boli.

(A przecież biegać zasadniczo pozwalamy dzieciom; to jedyny czyn, którym pozwalamy im żyć).

I cała ta potworna maszyna pracuje długie lata, by kruszyć wolę, mjąc energję, spalać siłę dziecka na swąd.

Dla jutra lekceważy się to co je dziś cieszy, smuci, dziwi, gniewa, zajmuje. Dla jutra, którego ani rozumie, ani ma potrzebę rozumieć, kradnie się lata życia, wiele lat.

— Dzieci i ryby nie mają głosu.

— Masz czas. Poczekaj, aż urośniesz.

— Ocho, masz długie spodnie, — ho! ho! masz już zegarek. Pokaż: wąsy ci rosną.

I dziecko myśli:

— Jestem niczem. Czems są dopiero dorośli. Już jestem trochę starsze nic. Ile to jeszcze lat mam czekać? Ale niech tylko dorosnę...

Czeka i leniwie bytuje, czeka i dusi się, czeka i czai się, czeka i łyka ślinkę. Piękne dzieciństwo, nie, tylko nudne; a jeśli są w niem piękne chwile, to wywalczone, częścię wykradzione.

41

Więc na wszystko pozwalać? Przenigdy: z nudzącego się niewolnika zrobimy znudzonego tyrana. Zabraniając, hartujemy bądź co bądź wolę, bodaj w kierunku hamowania się i zrzekania tylko, rozwijamy wynalazczość w działaniu na ciasnym terenie, umiejętność wyslizgiwania się z pod kontroli, budzimy krytycyzm. I to coś warte, jako jednostronne przygotowanie do życia. Pozwalając „na wszystko” baczmy, by dogadzając zachciankom, tem usilniej nie dławić chceń. Tam osłabiamy wolę, tu ją zatruwamy.

To nie: rób co chcesz, a: ja zrobię, ja kupię, ja ci dam wszystko co chcesz, ale żądaj tylko tego, co ci ja dać, kupić, zrobić mogę. Płacę ci, byś samo nic nie robiło, płacę, byś było posłuszne.

— Jak zjesz kotlecik, mama ci kupi książeczkę. Nie chodź na spacer, za to masz czekoladkę.

Dziecięce: „daj”, nawet tylko wyciągnięta bezsłownie ręka, musi się spotkać z naszym: nie, a od tych pierwszych: nie dam, nie można, nie wolno, zależny jest cały olbrzymi odłam wychowania.

Matka nie chce widzieć jeszcze zagadnienia; woli leniwie, tchórzliwie odroczyć, odłożyć na później, na potem. Nie chce wiedzieć, że z wychowania nie da się usunąć tragiczna kolizja niesłusznego, niewykonalnego, niedoświadczonego chcenia z doświadczonym zakazem, nie da się wykluczyć jeszcze tragiczniejsze starcie dwóch chceń, dwóch praw na wspólnym terenie. Ono chce wziąć do ust płonącą świecę, ja mu pozwolić nie mogę, ono żąda noża, ja się obawiam, ono wyciąga ręce po wazon, którego mi szkoda, chce by rzucić do niego piłkę, ja chcę czytać książkę. Musimy ustalić granice jego i mego prawa.

Niemowlę sięga po szklanekę, matka całuje tę rękę, nie pomaga, daje grzechotkę, nie pomaga, każe usunąć z oczu pokusę. Jeśli niemowlę wyrzywa rękę, rzuca o ziemię grzechotkę, szuka wzrokiem ukrytego przedmiotu, gniewnie patrzy na matkę, pytam się, kto ma słuszość: matka-oszustka, czy niemowlę, które nią gardzi.

Kto gruntownie nie przemyśli zagadnienia zakazów i nakazów, gdy ich jest mało, nie ogarnie, zgubi się, gdy ich będzie wiele.

42

Jędrzek wiejski. Już chodzi. Trzyma się o futrynę drzwi i ostrożnie przelezi z izby przez próg do sieni. Z sieni, po dwóch stopniach z kamieni, pełźnie na czworakach. Przed chałupą spotkał kota: spojrzeli na siebie i rozeszli się. Potknął się o grudkę, przystanął, patrzy. Znalazł patyk, siada, grzebie w piasku. Leży łupina kartofla, bierze do ust, piasek w ustach, skrzywił się, pluje, rzuca. Znów na nogach, biegnie naprzeciw psa; pies brutal przewrócił go. Skrzywił się do płaczu, nie; coś sobie przypomniał, ciągnie miotłę. Matka idzie po wodę; chwycił za kieckę i już pewnie biegnie. Grupa starszych dzieci, mają wózek, patrzy; odpędzili go, stanął na stronic, patrzy. Dwa koguty się biją, patrzy. Posadzili go na wózek, wiozą, wyrócili. Matka woła. To pierwsze pół z szesnastu godzin dnia.

Nikt mu nie mówi, że jest dzieckiem, sam czuje, co ponad siły. Nikt mu nie mówi, że kot drapie, że ze schodków nie umie schodzić. Nikt nie zakreśla stosunku do starszych dzieci. „W miarę, jak Jędrzek podrastał, wydłużały się coraz dalej od chałupy drogi jego zagonów”. (Witkiewicz).

Myli się, błądzi często; więc guz, więc duży guz, więc blizna.

Ależ nie: nie chcę nadmiaru opieki zmienić na jej brak. Wskazuję tylko, że roczniak wiejski już żyje, gdy u nas dojrzały młodzieniec dopiero żyć będzie. Na miły Bóg — kiedy?

43

Bronek chce drzwi otworzyć. Sunie krzesło. Przystaje i odpoczywa, ale nie prosi o pomoc. Krzesło ciężkie, zmęczył się. Teraz ciągnie naprzemian za jedną, to za drugą nogę. Robota wolniej idzie, ale lżej. Już krzesło blisko drzwi, zdaje mu się, że dosięgnie, wdrapuje się, stoi Trzymam go lekko za suknię. Zachwiał się, przestraszył, schodzi. Przysuwa do samych drzwi, ale z boku od klamki. Druga nieudana próba. Ani śladu zniecierpliwienia. Pracuje znów, jeno odpoczniki nieco dłuższe. Po raz trzeci wspina się: noga w górę, chwyt ręką i oparcie zgiętym kolanem, zwisa, chwytą równowagę, nowy wysiłek, ręka zahacza o brzeg,

leży na brzuchu; pauza, rzut ciałem naprzód, klęka, wypłtuje nogi z sukni, stoi. Jak biedne są te liliputy w kraju olbrzymów. Głowa wiecznie w górę, aby coś zobaczyć. Okno gdzieś wysoko, jak w więzieniu. Aby usiąść na krześle, trzeba być akrobatą. Wysiłek wszystkich mięśni i całej inteligencji, by sięgnąć wreszcie do klamki.

Drzwi otwarte, — westchnął głęboko. To głębokie westchnienie ulgi widzimy już u niemowląt po każdym wysiłku woli, długotrwałym napięciu uwagi. Gdy kończysz ciekawą bajkę, dziecko tak samo wzdycha. Chcę, by to rozumiano.

Takie głębokie pojedyncze westchnienie dowodzi, że uprzednio oddychanie było zwolnione, powierzchowne, niedostateczne, dziecko z zapartym tchem patrzy, czeka, śledzi, usiłuje; aż do wyczerpania tlenu, aż do zatrucia tkanek. Ustrój natychmiast alarmuje centr oddechowy; następuje głębokie westchnienie, które przywraca równowagę.

Jeśli umiecie djagnozować radość dziecka i jej natężenie, musicie dostrzedz, że najwyższą jest radość pokonanej trudności, osiągniętego celu, odkrytej tajemnicy, radość tryumfu i szczęście samodzielności, opanowania, władania.

— Gdzie mama? niema mamy. Szukaj. Znalazło. Dlaczego się tak śmieje?

— Uciekaj, mama będzie cię gonić. Oj, nie może złapać. Ach, szczęśliwe.

Dlaczego chce czołgać się, chodzić, wyrywa z rąk? Taka pospolita scena: ono drepce, oddala się od niańki, widzi, że niańka biegnie za nim, więc ucieka, traci poczucie niebezpieczeństwa, pędzi na osłep w ekstazie swobody, — i albo wyciągnie się jak długie na ziemi, albo pochwycone wydziera się, kopie nogami, wrzeszczy.

Powiecie: nadmiar energii; to strona fizjologiczna, ja poszukuję psychofizjologicznej.

Zapytuję: dlaczego chce samo trzymać szklankę, gdy pije, i żeby matka zupełnie jej nie dotykała ręką, dlaczego jeść już nie chce, ale je, bo mu pozwolono czerpać samemu łyżką. Dlaczego radośnie gasi zapalkę, wlecze pantofle ojca, niesie podnózek dla babci? Naśladownictwo? Nie, coś znacznie większego i cenniejszego.

— Ja sam — krzyczy tysiąc razy gestem, wzrokiem, śmiechem; błaganiem, gniewem, łzami.

44

A czy ty umiesz sam drzwi otwierać? — zapytałem pacjenta, którego matka uprzedziła mnie, że boi się lekarzy.

— Nawet w klozecie — odpowiedział śpiesznie.

Roześmiałem się. Chłopiec się zawstydził, ale więcej zawstydziłem się ja. Wydarłem wyznanie skrytego tryumfu i wyśmiałem.

Nietrudno się domyślić, że był czas, kiedy już wszystkie drzwi stały przed nim otworem, a klozetowe opierały się jego usiłowaniom, były celem jego ambicji; podobny był w tem do młodego chirurga, który marzy o wykonaniu trudnej operacji.

Nie zwierzał się nikomu, bo wie, że w tem, co stanowi jego świat wewnętrzny, nie znajduje oddźwięku wśród otoczenia.

Może go nieraz zburczano lub odepchnięto podejrziwym pytaniem.

— Czego ty się tam kręcisz, co ty tam ciągle majstrujesz? Nie ruszaj, bo zepsujesz. Idź w tej chwili do pokoju.

Więc ukradkiem, w tajemnicy pracował, wreszcie otworzył.

Czy zwróciliście uwagę, jak często, gdy rozlega się dzwonek, słyszycie prośbę:

— Ja otworzę!

Po pierwsze, zatrask drzwi wejściowych jest trudny, po drugie: poczucie, że tam za drzwiami stoi dorosły, który sam rady sobie dać nie może i czeka, aż on — mały — mu pomoże.

Takie małe tryumfy święci dziecko, które już śni o dalekich podróżach, które w marzeniu jest Robinsonem na bezludnej wyspie, a w rzeczywistości szczęśliwe, gdy ma pozwolą, wyglądać przez okno.

— Czy umiesz sam wejść na krzesło?

Czy umiesz skakać na jednej nodze?

Czy możesz lewą ręką łapać piłkę?

I dziecko zapomina, że mnie nie zna, że będę gardło oglądał, że mu zapiszę lekarstwo. Poruszam to, co góruje nad uczuciami zażenowania, strachu, niechęci, więc odpowiada radośnie:

— Umieję.

Czy widzieliście, jak niemowlę długo, cierpliwie, z zniecierpliwioną twarzą, uchylonemi ustami i skupieniem w oczach, wkłada i zdejmuję pończochę albo pantofel? To ani zabawa, ani naśladownictwo, ani bezmyślne zbijanie bąków, a praca.

Jakie pożywienie dacie jego woli, gdy będzie miało lat trzy, pięć, dziesięć?

45

Ja!

Gdy noworodek drapie się własnym paznokciem; gdy niemowlę siedząc ciągnie do ust nogę, przewraca się na wznak i gniewnie szuka winowajcy wokoło; gdy ciągnie się za włosy, krzywi z bólu, ale próbę ponawia, gdy uderza się łyżką po głowie, patrzy w górę, co tam jest takiego, czego nie widzi a czuje, ono nie zna siebie.

Gdy bada ruchy rąk; gdy ssąc pięść, ogląda ją uważnie; gdy przy piersi nagle przestaje ssać i porównywa swą nogę z piersią matki; gdy drepąc, zatrzymuje się i patrzy w dół i szuka tego czegoś, co je unosi zupełnie inaczej, niż ręce matczyne; gdy porównywa swą prawą nogę w pończosze z lewą nogą; ono pragnie poznać i wiedzieć.

Gdy w kąpielni bada wodę, odnajdując w wielu nieświadomych kroplach siebie, kroplę świadomą, wówczas przeczuwa wielką prawdę, którą zawiera krótki wyraz: ja.

Tylko obraz futurysty może dać nam to, czym jest dziecko dla siebie: palce, piąstka, mniej wyraźnie nogi, może brzuch, może nawet i głowa, ale tylko w słabych konturach, jak mapa podbiegunowych okolic.

Jeszcze nieskończona praca, jeszcze odwraca się i przegina, aby zobaczyć, co się tam z tyłu kryje, przed lustrem studjuje się i na fotografii przygląda, odnajduje to zagłębienie pępka, to wyniosłość własnych brodawek, a już nowa praca: odszukać siebie wśród otoczenia. Mama, ojciec, pan, pani, jedni często się ukazują, drudzy rzadko, pełno tajemniczych postaci, których przeznaczenie jest ciemne, a czyny wątpliwe.

Zaledwie ustaliło, że mama służy do spełniania lub staje w poprzek jego żądaniom, tata przynosi pieniądze, a ciocie, czekoladki, — gdy w własnych myślach, gdzieś w sobie, odkrywa nowy, jeszcze dziwniejszy świat niewidzialny.

Dalej, trzeba odszukać siebie w społeczeństwie, siebie w ludzkości, siebie we wszechświecie.

Ot, włosy siwe, praca nieskończona.

46

Moje.

Gdzie kryje się ów pierwotniak myśl-uczucie? Może zrasta się z pojęciem ja? Może wówczas, gdy niemowlę protestuje przeciw krępowaniu rąk, walczy o nie, jako o „moje”, a nie o „ja”, Jeżeli odbierasz łyżkę, którą uderza po stole, pozbawiasz nie własności, a właściwości, którą ręka wyładowuje energię, wypowiada się w odmienny sposób, przez dźwięk.

Ręka ta, niezupełnie jego ręka, raczej posłuszny duch Alladyna, trzyma biskopt, zyskując nową cenną własność, i dziecko tej broni.

W jakim stopniu pojęcie własności wiąże się w niem z pojęciem o wzmożonej sile? Łuk dla dzikiego był nie tylko własnością, ale ulepszoną ręką, która razi na odległość.

Dziecko nie chce oddać dartej gazety, bo bada, bo ćwiczy się, bo to materiał, jak ręka jest narzędziem, które nie wydaje dźwięków, nie ma smaku, ale łącznie z dzwonkiem przemawia, łącznie z bułką daje do ssania dodatkowe miłe wrażenie.

Dopiero później przychodzi naśladownictwo, emulacja, chęć wyniesienia się. Bo własność wzbudza szacunek, podnosi wartość, daje władzę. Bez piłki stałby w cieniu niedostrzeżony, mając piłkę, może niezależnie od zasług, zająć wybitne miejsce w zabawie; mając szabelkę, zostaje oficerem, posiadając lejce, jest woźnicą; a szeregowcem, koniem jest ten, który nie posiada.

— Daj mi, pozwól, ustąpić, — prośba, która lechce ambicję.

— Dam lub nie dam, — zależnie od kaprysu, — bo to — moje.

47

Chcę mieć, mam, chcę wiedzieć, wiem, chcę móżdż, mogę; trzy rozgałęzienia wspólnego pnia woli, której korzeniami dwa uczucia: zadowolenia i niezadowolenia.

Niemowlę sili się, by poznać siebie, otaczający je świat żywy i martwy, bo z tem związana jest jego pomyślność. Zapytując: „co to?” — wyrazem czy wzrokiem, ono nie nazwy żąda, a oceny.

— Co to?

— Fe, rzucić, to be, tego nie można brać do rąk.

— Co to?

— To kwiatek, — i uśmiech, i łagodny wyraz twarzy i przyzwolenie.

Gdy dziecko zapytuje o przedmiot obojętny i otrzymuje nazwę bez uczuciowej kwalifikacji mimicznej, bywa że patrzając na matkę zdziwione, jakby rozczarowane, powtarza nazwę, przeciągając wyraz, w niepewności, co z odpowiedzią ma czynić. Ono musi nabrać doświadczenia, by zrozumieć, że obok pożądanego i niepożądanego istnieje także świat obojętny.

— Co to?

— Wata.

— Waaata? — i wpatruje się w twarz matki, czeka na wskazówkę, co ma sadzić o tem.

Gdybym odbywał podróż w towarzystwie tubylca po lesie podzwrotnikowym, zauważywszy roślinę z nieznanym owocem, zapytałbym podobnie, co to, — a on odgadując pytanie, odpowiedziałby okrzykiem, skrzywieniem czy uśmiechem, że to trucizna, smaczne pożywienie lub bezwartościowy twór, którego niewarto brać do podróźnej torby.

Dziecięce: co to? oznacza: „jakie to? do czego służy? co mogę mieć z tego za korzyść?”

48

Pospolity a ciekawy obrazek:

Spotyka się dwoje dzieci, jeszcze chwiejnych na drepających nogach; jedno ma piłkę albo piernik; a drugie chce mu odebrać.

Matce przykro, gdy jej dziecko coś drogiemu wydziera, nie chce dać, podzielić się; „pożyczyć”. To kompromituje, że jej dziecko wybiega po za przyjętą normę ustalony konwenans.

W cenie, o której mowa, możemy mieć przebieg trojaki:

Jedno dziecko wydziera, drogie patrzy zdziwione, potem przenosi wzrok na matkę, oczekując oceny niezrozumiałej sytuacji.

Albo: jedno usiłuje wydrzeć, ale trafiła kosa na kamień, — napadnięte chowa poza siebie przedmiot pożądan, odpycha napastnika, przewraca go. Matki biegną na pomoc.

Albo: patrzą, lękliwie się zbliżają, jedno niepewnym ruchem sięga, drugie bezbarwnie się broni. Dopiero po długim przygotowaniu wytwarza się konflikt.

Odgrywa tu rolę wiek obojga, zasób życiowego do świadczenia. Dziecko, mając starsze rodzeństwo, wielokrotnie już występowało w obronie swych praw lub własności, samo atakując niekiedy. Ale po odrzuceniu tego, co przypadkowe, dostrzegamy dwie odmienne organizacje, dwa głęboko ludzkie typy: czynny i bierny, aktywny i passywny.

— On dobry: wszystko odda.

Albo:

— Głuptas: wszystko sobie zabrać pozwoli.

To nie dobroć i nie głupota.

49

Łagodność, słabszy pęd życiowy, niższy wzlot woli, lękliwość czynu. Unikanie nagłych ruchów, żywych doświadczeń, trudnych przedsięwzięć.

Mniej czyniąc, mniej zdobywa prawd faktycznych, więc zmuszone bardziej, ufać, dłużej ulegać.

Czy intelekt mniej cenny? Nie, tylko inny. Bierne, mniej ma sińców i przykrych pomyłek, więc mu brak ich bolesnego doświadczenia; ale zdobyte może lepiej pamiętać, Czynne, więcej ma guzów i zawodów, może szybciej je zapomina. Pierwsze mniej i wolniej, ale gruntowniej może przeżywa.

Bierne są wygodniejsze. Zostawione samo, nie wypadnie z wózka, nie alarmuje domu z byle powodu, zapłakane łatwo się utuli, nie żąda zbyt natarczywie, mniej łamie, drze, niszczy.

— Daj, nie protestuje. Włóż, weź, zdejm, zjedz, — ulega.

Dwie sceny:

Niegłodne, ale na spodku zostaje łyżka kaszy, więc musi zjeść, bo ilość ustalona przez lekarza. Niechętnie otwiera usta, długo i leniwie żuje, powoli i z wysiłkiem łyka. Drugie, niegłodne, więc zaciska zęby, energicznie rzuca głową, odpycha, wypluwa, broni się.

A wychowanie?

Sądzić o dziecku z dwóch biegunowo różnych typów dzieci, to na zasadzie właściwości wrzątku i lodu mówić o wodzie. Skala ma sto stopni, gdzie umieścimy twe dziecko? Ale matka może wiedzieć, co wrodzone, co wypracowane z mozołem, — i winna pamiętać, że wszystko, co osiągnięte tresurą, naciskiem, przemocą, jest nietrwale, niepewne, zawodne. A gdy uległe, „dobre” dziecko staje się nagle odporne i krnąbrne, nie należy się gniewać, że jest tem, czem jest.

50

Wieśniak, wpatrzony w niebo i ziemię, plód i twór ziemi, zna zakres władzy człowieka. Koń bystry, leniwy, bojaźliwy, narowny; kura nośna, krowa mleczna, gleba żyzna i jałowa, lato dżdżyste, zima bez śniegu, — wszędzie spotyka coś, co można trochę zmienić lub sporo poprawić, doglądem, mozołem, batem, ale bywa, że niczem nie podoła.

Mieszczuch ma zbyt wielkie pojęcie o potędze człowieka. Kartofle nie obrodziły, ale są, trzeba tylko drożej zapłacić. Zima, kładzie się futro; deszcz, kalosze; susza, polewają ulice, aby nie było kurzu. Wszystko można kupić, wszystkiemu zaradzić. Dziecko mizerne, lekarz, źle się uczy, gubernier. A książka, mówiąc co czynić należy, daje złudzenie, że wszystko da się osiągnąć.

Jakże uwierzyć, że dziecko musi być tem, czem jest, że, jak mówią francuzi, ekcematyka można wybielić, ale nie można wyleczyć.

Pragnę odżywić dziecko chude, czynię to z wolna, ostrożnie, i udało się: zdobyłem kilogram wagi. Ale wystarcza drobne niedomaganie, katar, gruszka dana nie w porę, i pacjent traci wypracowane mierne dwa funty.

Kolonie letnie dla ubogich dzieci. Słońce, las, rzeka, chłoną wesele, ogładę, dobroć. Wczoraj mały dzikus, dziś miły uczestnik zabawy. Zahukany, bojaźliwy i tępy, po tygodniu śmiały, żywy, pełen inicjatywy i śpiewu. Tu zmiana z godziny na godzinę, tam z tygodnia na tydzień, owdzie żadnej zmiany. To nie cud i brak cudu, tylko jest to, co było i czekało, a niema, czego nie było.

Uczę dziecko niedorozwinięte: dwa palce, dwa guziki, dwie zapalki, dwie monety — dwa. Już liczy do pięciu. Ale zmienić porządek pytania, intonację, gest — znów nie wie, nie umie.

Dziecko z wadą serca. Łagodne, powolne w ruchach, mowie, uśmiechu. Tchu mu brak, każde żywsze poruszenie, to kaszel, cierpienie, ból. Ono musi być takie.

Kobietę uszlachetnia macierzyństwo, gdy ofiarowuje, zrzeka się, rezygnuje; demoralizuje, gdy przysłaniając się rzekomem dobrem dziecka, oddaje je na żer swych ambicyi, upodobań, nałogów.

Moje dziecko, to moja własność, mój niewolnik, mój psiak pokojowy. Łechcę je międy uszami, głaszczę po grzbiecie, przybrane we wstążeczki prowadzę na spacer, tresuję, by było zmysłne i układne; a gdy mi dokuczysz:

— Idź się bawić. Idź się uczyć. Już czas spać!

Podobno na tem polega leczenie hysterji:

— Twierdzisz pan, że jesteś kogutem. Zostań pan kogutem, tylko niech pan nie pieje.

— Jesteś porywczy — mówię chłopcu. Dobrze, — bij, byle niezbyt mocno, złość się, ale raz na dzień tylko.

Jeśli chcecie, w tem jednym zdaniu streściłem całą metodę wychowawczą, którą się posługuję.

51

Widzisz tego malca, jak biega, krzyczy, tarza się w piasku? On będzie kiedyś znakomitym chemikiem, poczyni odkrycia, które dadzą mu poważanie, wybitne stanowisko, majątek. Tak, pomiędzy popołudniem a balem — nagle zamyśli się, zamknie utrapienie w pracowni, i wyjdzie uczonym. Ktoby się mógł spodziewać?

Widzisz tego drugiego, jak sennym wzrokiem przygląda się obojętnie zabawie rówieśników? Ziewnął, wstał, może się zbliży do rozbawionej gromadki? Nie, znów usiadł. I on będzie znakomitym chemikiem, poczyni odkrycia. Dziw: kto mógł przypuszczać?

Nie, mały roztrzępianiec ani ospalec, nie będą uczeni. Jeden będzie nauczycielem gimnastyki, drugi urzędnikiem pocztowym.

To moda przelotna, błąd, nierozum, że wszystko, co nie wybitne, zdaje się nam chybionem, bezwartościowem. Chorujemy na nieśmiertelność. Kto nie dorósł do pomnika na rynku, pragnie mieć bodaj uliczkę swego imienia zapis wieczysty. Jeśli nie cztery spałty po śmierci, to bodaj wzmiankę w tekście: „brał czynny udział, pozostawił żal w szerokich kołach”.

Ulice, szpitale, przytulki, nosiły imiona świętych patronów, i to miało sens, potem — panujących, to było znamieniem czasu, dziś, uczonych i artystów, i to niema sensu. Już wznoszą się pomniki idei, bezimiennych bohaterów, tych, którzy pomnika nie mają.

Dziecko nie jest biletem loteryjnym, na który ma paść wygrana portretu w sali posiedzeń magistratu czy biustu w przedsionku teatru. W każdym jest iskra własna, która może rozpałać ogniska szczęścia i prawdy, może w dziesiątym pokoleniu wybuchnie pożarem geniuszu i spali własny ród, dając ludzkości światło nowego słońca.

Dziecko nie jest gruntem zaorany przez dziedziczość pod zasiew życia; my tylko współdziałać możemy wzrostowi tego, co silnymi pędami wzrastając poczyna jeszcze przed pierwszym jego oddechem.

Rozgłos potrzebny jest nowym gatunkom tytoniu i świeżym markom wina, ale nie ludziom.

52

Więc fatum dziedziczości, predestynacja bezwzględna, bankructwo medycyny, pedagogiki? Piorunami miota frazes.

Nazwałem dziecko pargaminem szczelnie zapisanym, ziemią już obsianą, zarzucmy lepiej porównania, które w błąd wprowadzają.

Są przypadki, wobec których jesteśmy bezsilni w dzisiejszym stanie wiedzy. Jest ich dziś mniej, niż wczoraj, ale są.

Są przypadki, wobec których jesteśmy bezradni w dzisiejszych warunkach życia. I tych jest nieco mniej.

Oto dziecko, któremu najlepsza wola i najwyższy wysiłek przyniosą mało. Oto inne, któremu przyniosłyby wiele, ale warunki stoją na przeszkodzie. Jednemu wieś, góry, morze przyniosą niewiele, drugiemu pomogłyby, ale ich dać nie możemy.

Gdy spotkamy dziecko, które marnieje z braku opieki, powietrza, odzieży, nie winimy rodziców. Gdy widzimy dziecko, kaleczone nadmiarem zabiegów, przekarmiane, przegrzewane, chronione przed urojonem niebezpieczeństwem, skłonni jesteśmy oskarżać matkę, zdaje nam się, że tu łatwo złemu zaradzić, byleby była chęć rozumienia. Nie, trzeba bardzo wiele męstwa, by nie jałową krytyką, ale czynem oprzeć się przepisom, obowiązującym daną klasę, warstwę. Jeśli tam matka nie może umyć dziecka i utrzyć mu nosa, tu nie może pozwolić mu biegać w podartych trzewikach z zamorusaną twarzą. Jeśli tam ze łzami odbiera je ze szkoły, oddaje do terminu, tu z równie bolesnym uczuciem do szkoły musi posyłać.

— Zmarnuje mi się dzieciak bez szkoły, — mówi jedna, odbierając książkę.

— Zmarnuje mi się dziecko w szkole — mówi druga, kupując nowych pół puda podręczników.

Dla szerokiego ogółu dziedziczność jest faktem, który zasłania sobą wszystkie spotykane wyjątki, dla nauki jest zagadnieniem, będącem w toku badań. Istnieje obszerna literatura, dążąca do rozwiązania jednego tylko pytania: czy dziecko gruźliczych rodziców rodzi się chore, czy tylko predysponowane, czy zaraża się po urodzeniu? Czy myśląc o dziedziczności, braliście pod uwagę takie proste fakty, że prócz dziedziczności chorobowej istnieje dziedziczenie zdrowia, że rodzeństwo nie jest rodzeństwem w otrzymanych plusach i minusach, zasobach i skazach, — ma i winien. Zdrowi rodzice rodzą pierwsze dziecko, drugie będzie dzieckiem syfilityków, jeśli rodzice zapadli na tę chorobę; trzecie będzie dzieckiem syfilityków-tuberkulików, jeśli rodzice zarazili się jeszcze i gruźlicą. Tych troje dzieci, to obcy ludzie: bez tary, z tarą, z podwójnym obciążeniem. Odwrotnie, chory się wyleczył, z dwojga rodzeństwa pierwsze jest dzieckiem chorego, drugie zdrowego rodzica.

Czy dziecko nerwowe jest takie, bo urodzone przez nerwowych rodziców, czy że przez nich wychowywane? Gdzie granica między nerwowością a subtelnością nerwowej struktury, progneracją duchową?

Czy ojciec hulaka rodzi utracjusza syna, czy zaraża go swym przykładem?

Powiedz mi, kto cię rodził. Powiem ci, kim jesteś, ale nie zawsze.

Powiedz, kto cię wychowywał, a powiem ci, kim jesteś, — i to nie.

Dlaczego zdrowi rodzice miewają słabe potomstwo? Dlaczego w cnotliwej rodzinie wyrasta łotr niekiedy. Czemu pospolita rodzina daje wybitnego potomka?

Należy obok badań nad terenem dziedzicznym prowadzić równoległe badania nad terenami wychowawczymi, wówczas może niejedna zagadka znajdzie swe rozwiązanie.

Terenem wychowawczym nazywam duszę rodziny, która panuje; poszczególni jej członkowie nie mogą zajmować względem niej stanowiska dowolnego. Ta dusza kierująca zmusza, nie znosi oporu.

54

Teren dogmatyczny.

Tradycja, autorytet, obrządek, nakaz, jako prawo bezwzględne, mus, jako imperatywy życiowy. Karność, ład i rzetelność. Powaga, równowaga duchowa, pogoda, płynąca z hartu, poczucia trwałości, odporności, pewności siebie, słuszności zadań. Samoograniczenia, samoprzezwyciężenia, praca jako prawo, moralność, jako nałóg. Rozwaga aż do bierności, jednostronnego przeoczenia praw i prawd, których nie przekazała tradycja, nie uświęcił autorytet, nie utrwalił zmechanizowany szablon czynu.

Jeśli pewność siebie nie przejdzie w samowolę, prostota w prostactwo, to płodny teren wychowawczy. Złamie dziecko, cudze mu duchem, albo wyciosa pięknego zaiste człowieka, który szanować będzie surowych kierowników, bo nie bawili się niem, a wiedli znojną drogą do jasno określonego celu.

Warunki niepomysłne, ucisk potrzeb fizycznych nie zmienią duchowej istoty terenu. Skrzętna praca przechodzi w mozół, spokój w rezygnację, abnegacja aż do zacięcia się w woli przetrwania, niekiedy nieśmiałość i pokora, zawsze poczucie słuszności i ufności. Apatja i inercja nie jest jego słabością, a siłą, którą napróżno miota obca zła wola.

Dogmatem może być ziemia, kościół, ojczyzna, cnota i grzech; może być nauka, praca społeczna i polityczna, majątek, walka, zarówno Bóg, jak bohater, jak bożek, jak kukła. Nie w co a jak wierzysz.

55

Teren idejowy.

Jego dzielność nie w harcie duchowego trwania a w pędzie, parciu, rzucie. Tu się nie pracuje a radośnie działa. Tworzy się, nie wyczekuje. Niema musu, jest ochoczość. Niema dogmatów, są zagadnienia. Niema rozwagi, jest zapał, entuzjizm, jego hamulec, to obrzydzenie dla brudu, moralny estetyzm. Bywa, że nienawidzi na chwilę, nigdy nie pogardza. Jego tolerancja, to nie połowiczność własnych przekonań, ale szacunek dla myśli ludzkiej, radość, że wolna szybuje na różnych wysokościach w różne strony, krzyżując się,

zniżając i wzlatując, że napelnia sobą przestwór. Odważny we własnym czynie, chciwie chwyta odgłosy cudzych młotów, ciekawie wyczekuje jutra nowych podziwów i zdumień, poznań, błędzeń, walk, wąpień, twierdzeń i przeczeń.

Jeśli teren dogmatyczny sprzyja wychowaniu dziecka biernego, teren idejowy nadaje się pod zasiew dzieci czynnych. Sądzę, że wiele bolesnych niespodzianek tu ma swe źródło: jednemu dają dziesięcioro przykazań, wrytych na kamieniu, gdy ono chce je wypalić własnym ogniem we własnej piersi, drugie niewolą do poszukiwania prawd, które musi gotowe otrzymać. Nie widzieć tego można, gdy się zbliża do dziecka z „ja z ciebie zrobię człowieka”, a nie z badawczem: „czem być możesz, człowiecze”.

56

Teren pogodnego używania.

Mam ile mi potrzeba, więc mało, jako rzemieślnik czy urzędnik, więc wiele, jako posiadacz obszernych włości. Chcę być, czem jestem, więc majstrem, zawiadowcą stacji, adwokatem, powieściopisarzem. Praca nie jest służbą, placówką, celem, a środkiem dla zdobycia wygód, pożądaných warunków.

Pogoda, beztroska, łagodne wzruszenie, życzliwość, dobroć, tyle trzeźwości, ile potrzeba, tyle samowiedzy, ile się zdobywa bez trudu.

Niema *uporu* w przechowywaniu i trwaniu, ani *uporu* w poszukiwaniu i dążeniu.

Dziecko oddycha pomyślnością wewnętrzną, leniwem przyzwyczajeniem, zachowującym przeszłość, pobłażliwością dla dzisiejszych prądów, wdziękiem otaczającej je prostoty. Tu może być wszystkim: samo, z książek, rozmów, spotkań, doświadczeń życiowych, snuje tkaninę własnego światopoglądu, własną wybiera drogę.

Dodam miłość wzajemną rodziców: rzadko dziecko odczuwa jej brak, gdy niema, ale ją chłonie, gdy jest.

— Tatusz na mamę się gniewa, mama nie rozmawia z ojcem, mama płakała, a tatuś trzasnął drzwiami, to chmura, która przysłania błękit i ścina mroźną ciszą ochoczy gwar dzieciennego pokoju.

Powiedziałem we wstępie:

„Kazać komuś dać gotowe myśli, to polecić obcej kobiecie, by zrodziła własne twoje dziecko”.

Może niejednemu przyszło na myśl:

— A mężczyzna. Czy nie obca kobieta rodzi jego dziecko?

Nie: nie obca, a ukochana.

57

Teren pozorów i kariery.

Znów występuje upór, ale wypływa on nie z zewnętrznej potrzeby, a chłodnego wyrachowania. Niema tu miejsca na treść i pełnię, jest tylko przebiegła forma, zręczne wyzyskiwanie obcych wartości, sztuczne przybranie istotnej pustki. Hasła, na których można zarobić, konwenans, przed którym trzeba się korzyć. Nie wartość a sprytna reklama. Życie nie jako praca czy spoczynek, a węszenie i zabieganie. Nienasycona próżność, drapieżność, ferment, wyniosłość i unizoność, zawiść, złość i złośliwość.

Tu się dzieci ani kocha ani wychowuje, tu się tylko taksuje, traci lub zarabia, kupuje i sprzedaje. Pokłon, uśmiech, uściśnienie ręki, wszystko obliczone, rzecz jasna, małżeństwo i płodność. Zarabia się pieniędzmi, awansem, orderem, stosunkami w „sferach”.

Jeśli na podobnym terenie wyrasta dodatnia wartość, bywa, że to pozór tylko, że tylko gra bardziej umiejętna, maska szczelniej dopasowana. Bywa jednak, że i na terenie rozkładu i gangreny w męce i duchowym rozdarciu, wyrasta przysłowiowa „róża na gnojówce”. Takie przypadki wskazują, że obok uznanego prawa o wychowawczych sugestjach istnieje inne jeszcze, prawo antytezy. Widzimy je w przykładach, gdy sknera wychowuje rozrzutnika, bezbożnik bogobojnego, tchórz bohatera, czego jednostronnie li tylko „dziedzicznością” nie można tłumaczyć.

Prawo antytezy opiera się na sile, która się przeciwstawia sugestjom, płynącym z różnych źródeł, posługującym różnymi środkami. Jest to mechanizm obronny oporu, przeciwdziałania, samoobrony, niejako instynkt samozachowawczy ustroju duchowego, czujny, funkcjonujący automatycznie.

Jeśli moralizowanie jest już dostatecznie zdyskredytowane, to sugestia przykładu, środowiska, cieszą się bezwzględnie zaufaniem w wychowaniu. Czemu więc sugestia tak często zawodzi?

Zapytuję dlaczego dziecko, usłyszawszy przekleństwo, pragnie je powtarzać naprzekór zakazom, a uległszy groźbie, zachowuje w pamięci?

Gdzie źródło tej pozornie złej woli, gdy dziecko upiera się, mogąc łatwo ustąpić?

— Włóż palto.

Nie, chce iść bez palta.

— Włóż różową sukienkę.

Właśnie ma ochotę na niebieską.

Jeśli nie nalegasz, posłucha, jeśli nalegać będziesz, prośbą czy groźbą, zatnie się i tylko pod przymusem ustąpi.

Dlaczego najczęściej w okresie dojrzewania nasze banalne: tak, spotyka się z jego: nie. Czy nie jest to jednym z objawów tego głębokiego oporu przeciw pokusom, idącym zewnątrz, a mogącym przyjść zewnątrz?

„Smutna ironja, która każe cnocie pożądać grzechu, a zbrodni śnić niepokalane sny”.
Mirbeau.

Prześladowana wiara zdobywa tem gorętszy posłuch. Chęć uspienia narodowej samowiedzy budzi ją tem skuteczniej. Być może, pomieszałem tu fakty różnych dziedzin, dość, że mnie osobiście hipoteza o prawie antytezy tłumaczy wiele paradoksalnych reakcji na bodźce wychowawcze, i powstrzymuje od zbyt licznych, częstych i silnych sugestji w najbardziej nawet pożądanym kierunku.

59

Czem jest dziecko? Czem jest bodaj tylko fizycznie? Jest ustrojem rosnącym. Słusznie. Ale przyrost wagi i miary jest tylko jednym zjawiskiem obok wielu. Już nauka zna parę epizodów tego wzrostu: jest on nierównomierny, są okresy żywego i ospałego tempa. Prócz tego wiemy, że dziecko nie tylko rośnie, ale zmienia proporcje.

Szeroki ogół nawet tego nie wie. Ileż razy matka wzywa lekarza, skarżąc się, że dziecko zmizerniało, schudło, ciało zrobiło się wiotkie, twarzyczka i główka zmalala. Nie wie ona, że niemowlę, wchodząc w okres pierwszego dzieciństwa, traci fałdy tłuszczu, że z rozwojem klatki piersiowej głowa skrywa się w rozszerzających się barkach, że zarówno członki, jak narządy, mają rozwój odmienny, że inaczej wzrastają mózg, serce, żołądek, czaszka, oko, kości kończyn, że gdyby tak nie było, dorosły człowiek byłby potworem o olbrzymiej głowie na krótkim opasłym kadłubie, że nie mógłby się poruszać na dwóch tłuszczowych wałkach nóg, że zmiana proporcji towarzyszy wzrostowi.

Mamy parę dziesiątków tysięcy pomiarów, parę niezupełnie zgodnych ze sobą krzywych przeciętnego wzrostu, nie wiemy nic jaką wartość mają napotymane przyspieszenia, opóźnienia i dewiacje rozwoju. Bo znając piąte przez dziesiąte anatomję wzrostu, nie znamy jego fizjologii, bo badaliśmy sumiennie chore dziecko, a od niedawna zaczęliśmy się zdala przyglądać zdrowemu. Bo od lat stu kliniką naszą jest szpital, a nie zaczął być nią jeszcze zakład wychowawczy.

60

Dziecko się zmieniło. Coś z dzieckiem się stało. Niezawsze matka umie wskazać, na czym polega zmiana, natomiast ma gotową odpowiedź na pytanie, czemu ją przypisać należy.

— Dziecko się zmieniło po ząbkach, po szczepieniu ospy, po odstawieniu od piersi, potem jak wypadło z łóżka.

Chodziło już, nagle chodzić przestało; mruczało, by je wysadzić, znów się moczy; „nic” nie je, śpi niespokojnie, mało lub zbyt wiele, stało się kapryśne, nadmiernie ruchliwe lub ospałe, — schudło.

Inny okres:

Po wstąpieniu do szkoły po powrocie ze wsi, po odrze, po zaleconych kąpielach, po przestrachu i z powodu pożaru. Zmiana w śnie i łaknieniu, zmiana charakteru: dawniej posłuszne, teraz samowolne, dawniej pilne, teraz roztargnione i leniwe. Błede, pochyło się trzyma. Jakieś brzydkie narowy. Może źle wychowani koledzy, może nauka, może chore?

Dwuletni pobyt w domu sierot, przyglądanie się raczej dziecku, niż studja nad niem, pozwoliły mi ustalić, że to wszystko, co znane jest, jako niezrównoważenie okresu dojrzewania, przeżywa dziecko parokrotnie w postaci mniej jaskrawej, jako małe przełomy, lata równie „krytyczne”, tylko mniej bijące w oczy, a więc niedostrzeżone jeszcze przez naukę.

Dążąc do jedności w poglądzie na dziecko, pragną je niektórzy rozpatrywać, jako ustrój znużony. Stąd większa potrzeba snu, słaba odporność przeciw chorobom, uciążliwość narządów, słaba psychiczna wytrzymałość. Pogląd słuszny, ale nie dla wszystkich etapów rozwojowych. Dziecko bywa naprzemian silne, rześkie, pogodne, to słabe, zmęczone i chmurne. Jeśli w okresie krytycznym zachoruje, skłonni jesteśmy mniemać, że choroba już w niem nurtowała, ja sądzę, że choroba rozwinęła się na terenie, osłabionym przelotnie, że bądź przyczajona czekała, kiedy będą najpomyślniejsze warunki dla napadu, bądź przypadkowo zzewnątrz zawleczona, rozgościła się, nie znalazłszy oporu.

Jeśli w przyszłości nie będziemy dzielili cyklu życia na sztuczne: niemowlę, dziecko, młodzieniec, człowiek dojrzały i starzec, wytyczną dla jego podziału będzie nie wzrost i rozwój zewnętrzny, a te nieznanne nam jeszcze głębokie przeobrażenia ustroju, jako całości, które rozwinął Charcot w wykładzie o ewolucji artretyzmu, od kołyski do grobu, poprzez dwa pokolenia.

61

Pomiędzy pierwszym a drugim rokiem życia dziecka, najczęściej zmienia się domowego lekarza. Zyskiwałem w tym czasie pacjentów matek, rozżalonych na poprzednika, który się jakoby nieumiejętnie wywiązał z opieki nad dzieckiem, i odwrotnie, porzucały matki mnie, oskarżając, że ten czy ów niepożądany objaw wynikł z mego zaniedbania. Jedne i drugie mają o tyle słuszność, że lekarz uznawał niemowlę za zupełnie zdrowe, gdy nagle wypłynęła niespodzianie nieprzewidziana, niedostrzegalna uprzednio skaza. Dość jednak przeczekać cierpliwie okres krytyczny, a dziecko z nieznaczną tarą dziedziczną rychło dochodzi do zachwianej przelotnie równowagi, a w stanie cięższej obciążonego następuje poprawa, i znów płynie pogodnie dalszy rozwój młodego życia.

Jeśli w tym pierwszym, jak drugim, szkolnym okresie zakłóconych funkcji, stosować pewne zabiegi, poprawę im właśnie się przypisuje. I jeśli dziś już wiadomo, że poprawa przy zapaleniu płuc czy tyfusie następuje po ukończeniu cyklu choroby, tu zamieszanie trwać musi, dopóki nie ustalimy porządku etapów rozwojowych dziecka, nie nakreślimy odrębnych profilów rozwoju dla dzieci różnego typu.

Krzywa rozwoju dziecka ma swe wiosny i jesienie, okresy wyczerpanej pracy i spoczynku w celu dopełnienia, zakończenia w pośpiechu wykonanej roboty i przygotowawczego zbierania zapasów dla dalszej budowy. Płód siedmiomiesięczny już jest zdolny do życia, a przecież długie dwa miesiące jeszcze (czwarta część ciąży prawie) w łonie matki dojrzewa.

Niemowlę, które potraja swą początkową wagę w ciągu roku, ma prawo do odpoczynku. Błyskawiczna droga, jaką odbywa się jego rozwój psychiczny, daje mu również prawo — coś niecoś zapomnieć z tego, co już umiało, a co przedwcześnie markowaliśmy, jako trwały nabytek.

62

Dziecko nie chce jeść.

Małe arytmetyczne zadanie.

Dziecko urodziło się o wadze ośmiu funtów z ułamkiem, po upływie roku, potroiwszy wagę, liczy 25 funtów. Gdyby w tem samym tempie miało nadal wzrastać, w końcu drugiego roku ważyłoby $25 \text{ funtów} \times 3 = 75 \text{ funtów}$.

W końcu trzeciego roku $75 \text{ f.} \times 3 = 225 \text{ f.}$

W końcu czwartego roku $225 \text{ f.} \times 3 = 675 \text{ f.}$

W końcu piątego roku $675 \text{ f.} \times 3 = 2025 \text{ f.}$

Ten pięcioletni potwór, ważąc 2000 funtów, spożywając dziennie $1/6$ — $1/7$ swej wagi, jak to ma miejsce u niemowląt, wymagałby dziennie 300 funtów produktów spożywczych.

Dziecko je mało, bardzo mało, wiele, bardzo wiele, zależnie od mechanizmu wzrostu. Krzywa wagi daje wzniesienia powolne lub nagle, niekiedy w ciągu miesięcy się nie zmienia. Jest nieubłagana w swej konsekwencji: podczas niedyspozycji dziecko w ciągu paru dni traci, w ciągu następnych dni tyleż zyskuje, zgodnie z wewnętrznym nakazem, który głosi: „tyle, a nie więcej”. Gdy dziecko niedokarmiane, w nędzy, przechodzi na normalną dyjetę, w ciągu tygodnia uzupełnia minus, i staje na swoim poziomie. Jeśli ważyć dziecko co tydzień, po pewnym czasie zaczyna zgadywać, czy mu ubyło, czy przybyło na wadze:

— W zeszłym tygodniu ubyło mi trzysta gramów, pewnie przybędzie mi dziś pięćset. Dziś mi ubędzie, bo nie jadłem kolacji. Eee, pewnie mi sto gramików przybędzie. Znów pięćset przybyło, dziękuję...

Dziecko chce rodzicom dogodzić, bo przykro mu martwić mamę, bo zadośćuczynienie woli rodziców przynosi mu nieobliczalne korzyści. Więc jeśli nie zje kotleta, nie wypije mleka, to dlatego, że nie może. Jeśli zmuszać będą, to powtarzające się co pewien czas niedyspozycje żołądkowe i dyjeta, będą regulowały normalny przyrost wagi.

Zasada: dziecko powinno jeść tyle, ile chce, ani mniej, ani więcej. Nawet przy forsownem odżywianiu dziecka chorego, relewę układać można tylko przy jego udziale i kurację prowadzić pod jego kontrolą.

63

Zmuszanie dzieci, by spały, gdy im się spać nie chce, jest przestępstwem. Tablica, która głosi, kiedy ile godzin snu dziecku potrzeba, jest absurdem. Ustalić ilość godzin potrzebną dla danego dziecka łatwo, gdy kto ma zegar, ile godzin śpi bez przebudzenia, by zbudzić się wyspane. Powiadam: wyspane, a nie rześkie. Są okresy, gdy dziecko wymaga więcej snu, są takie, gdy dziecko nie śpiąc, pragnie leżeć w łóżku, bo zmęczone, nie śpiące.

Okres znużenia: wieczorem niechętnie idzie do łóżka, bo mu się *spać* nie chce, rano niechętnie porzuca łóżko, bo mu się *wstać* nie chce. Wieczorem udaje, że nie śpiące, bo mu nie pozwolą leżąc wycinać obrazków, bawić się cegielkami lub lalką, zgaszą światło i zabronią rozmawiać. Rano udaje, że śpi, bo mu każą natychmiast wyjść z łóżka i myć się zimną wodą. Jak radośnie witają jakiś kaszel, gorączkę, która pozwala nie śpiąc, pozostawać w łóżku.

Okres pogodnej równowagi: zaśnie szybko, ale obudzi się przed świtem pełen energii, potrzeby ruchu i swawolnej inicjatywy. Ani pochmurne niebo, ani chłód pokoju nie zrażą go: boso, w koszuli, rozgrzeje się, skacząc po stole i krzesłach. Co robić? Kłaść późno spać, nawet, o zgrozo, o jedenastej. Pozwolić w łóżku się bawić. Zapytuję, dlaczego rozmowa przed snem ma „wybijać ze snu”, a zdenerwowanie, że mimo woli musi być nieposłuszne, nie „wybija ze snu”.

Zasadę, mniejsza o to czy słuszną: wcześniej kłaść się, wcześniej wstawać, rodzice dla swej wygody świadomie sfalszowali na inną: im więcej snu, tem zdrowiej. Do gnuśnej nudy dnia dodają drażniącą nudę wieczornego oczekiwania na sen. Trudno wyobrazić sobie bardziej despotyczny, graniczący z torturą nakaz, jak:

— Śpij!

Ludzie, którzy późno spać chodzą, bywają dlatego chorzy, że noce spędzają na pijaństwie i rozpuście, a zmuszani pracą zawodową do wczesnego wstawania, śpią mało.

Neurastenik, który wstał raz o świcie, czuje się doskonale, ulegając sugestji.

Że dziecko, wcześniej się kładąc, mniej przebywa przy sztucznem oświetleniu, to plus nie tak znów wielki, w mieście, gdzie przy rannem świetle dnia nie może wybiedz w pole, a leży przy spuszczonej roletach, już rozleniwione, już chmurne, już kapryśne, zaś przepowiednia dla rozpoczynającego się dnia...

W kilkudziesięciu wierszach tu, jak we wszystkich poruszonych w tej książce zagadnieniach, nie mogę rozwinąć tematu, który wymaga osobnego dzieła. Zadaniem mojem budzić czujność...

64

Czem jest dziecko, jako odmienna od naszej organizacja duchowa? Jakie są jej cechy, potrzeby, jakie kryje możliwości niedostrzeżone? Czem jest ta połowa ludzkości, żyjąca razem i obok nas w tragicznym rozdwojeniu? Nakładamy na nie brzemień obowiązków jutrzejszego człowieka, nie dając żadnego z praw człowieka dzisiejszego.

Jeśli podzielić ludzkość na dorosłych i dzieci, a życie, na dziecięctwo i dojrzałość, to tego dziecka na świecie i w życiu jest bardzo, bardzo dużo. Tylko że zapatrzeni we własną walkę, własną troskę, nie dostrzegamy go, jak dawniej nie dostrzegaliśmy kobiety, chłopca, ujarzmionych warstw i narodów. Urządziliśmy się tak, by nam dzieci najmniej przeszkadzały, najmniej domyślały się, czym istotnie jesteśmy i co istotnie robimy.

W jednym z paryskich domów dziecięcych widziałem dwie poręcze schodów: wysoką dla dorosłych, niską dla małych. Pozatem geniusz wynalazczy wyczerpał się w jednej ławce szkolnej. To mało, bardzo mało. Spójrzcie na żebracze placyki dla dzieci, z wyszczerbionym kubkiem na zardzewiałym łańcuchu przy studni, w ogrodach magnackich stolic Europy.

Gdzie domy i ogrody, warsztaty i pola doświadczalne, narzędzia pracy i poznania dla dzieci, ludzi jutra? Jeszcze jedno okno, jeszcze sionka, dzieląca klasę od prewetu, tyle tylko dała architektura; jeszcze koń ceratowy i szabelka blaszana, tyle dał przemysł; malowanki na ścianach i sloid, niewiele; bajka, nie my ją wymyślili.

W naszych oczach z nałożnicy wyłoniła się kobieta-człowiek. Przez wieki ulegała przemocą narzuconej roli, tworzyła typ, urobiony przez samowolę i egoizm męczyzny, który nie chciał widzieć wśród ludu kobiety pracownicy, jak nie widzi jeszcze dziecka-pracownika.

Dziecko nie przemówiło, ono wciąż jeszcze słucha.

Dziecko, sto masek, sto ról zdolnego aktora. Inne wobec matki, inne wobec ojca, babki, dziadka, inne wobec surowego i łagodnego nauczyciela, inne w kuchni, wśród rówieśników, inne wobec bogatych i biednych, inne w codziennej i świątecznej odzieży. Naiwne i przebiegłe, pokorne i wyniosłe, łagodne i mściwe, dobrze ułożone i swawolne, umie tak się ukryć do czasu, tak zamurować w sobie, że nas zwodzi i wyzyskuje.

W dziedzinie instynktów brak mu tylko jednego, raczej jest, ale rozproszony, jako mgławica erotycznych przeczuć.

W dziedzinie uczuć przewyższa nas siłą przez nieurobienie hamulców.

W dziedzinie intelektu conajmniej nam dorównywa, tylko mu brak doświadczenia.

Dlatego tak często dojrzały bywa dzieckiem, a ono, dojrzałym człowiekiem.

Cała reszta różnicy, to że nie zarobkuje, że będąc na utrzymaniu, zmuszone wzamian ulegać.

65

Niedoświadczone.

Przykład i próba wytłómaczenia.

— Ja mamie powiem do ucha.

I obejmując matkę za szyję, mówi tajemniczo:

— Niech mamusia spyta się doktora, czy mogę jeść bułeczkę (czekoladkę, kompot).

Patrzy przy tem często na lekarza, kokietując go uśmiechem, by podkupić, wymóżyć przyzwolenie.

Starsze dzieci mówią do ucha szeptem, młodsze, zwykłym głosem...

Był moment, kiedy otoczenie uznało dziecko za dostatecznie dojrzałe do morału:

— Są życzenia, których nie wolno wypowiadać. Są one dwojakie: jedne, bo ich mieć nie należy wcale, a mając, trzeba się ich wstydzić, drugie, bo są dopuszczalne, ale tylko wśród swoich.

Brzydko jest napierać się, brzydko zjadłszy cukierek, prosić o drugi. Niekiedy brzydko jest wogóle prosić o cukierek: trzeba czekać, aż dadzą.

Brzydko jest zrobić w majtki, ale brzydko mówić: „chcę siusiu”, będą się śmieli. Żeby się nie śmieli, trzeba powiedzieć do ucha.

Czasem brzydko pytać się głośno.

— Dlaczego ten pan nie ma włosów?

Pan się śmiał, wszyscy się śmieli. Można się zapytać, ale też do ucha.

Dziecko nie od razu zrozumie, że mówienie do ucha ma na celu, by tylko jedna zaufana osoba usłyszała; więc mówi do ucha, ale głośno:

— Chcę siusiu, chcę ciastko.

Jeśli mówi cicho, ono też nie rozumie. Bo poco ukrywać to, o czym się obecni i tak od mamy dowiedzą.

Obcych o nic nie należy prosić, więc dlaczego doktora wolno głośno prosić?

— Dlaczego ten piesek ma takie długie uszy? — pyta się dziecko najcichszym szeptem.

Znów śmiech. Można zapytać się głośno, bo piesek się nie obrazi. A przecie brzydko pytać się: dlaczego ta dziewczynka ma brzydką sukienkę? Przecież sukienka się nie obrazi.

Jakże wyjaśnić dziecku, ile w tem wszystkim łajdackiego dojrzałego fałszu?

Jak mu później wytłumaczyć, dlaczego mówić do ucha jest wogóle brzydko?

66

Niedoświadczone.

Patrzy ciekawie, chciwie słucha i wierzy.

— Jabłuszko, ciocia, kwiatek, krówka.

Wierzy.

— Ładne, smaczne, dobre, wierzy.

— Brzydkie, nie rusz, nie można, nie wolno, wierzy.

— Daj buzi, ukłoń się, podziękuj, wierzy.

Dziecko się uderzyło; daj, mama pocałuj; już nie boli.

Uśmiecha się przez łzy; mama pocałowała; już nie boli. Uderzyło się, więc biegnie po lekarstwo, pocałunek.

Wierzy.

— Kochasz?

— Kocham...

— Mama śpi, mamę główka boli, nie można mamy budzić.

Więc cichutko, na palcach dochodzi do matki, ostrożnie pociąga ją za rękaw i szeptem zadaje pytanie. Ono nie budzi mamy, ono tylko się zapyta, a potem „śpij sobie mamusiu, ciebie główka boli”.

Tam w górze jest Bozia. Bozia gniewa się na niegrzeczne dzieci, a grzecznym daje bułeczki, ciasteczka. Gdzie Bozia?

— Tam, wysoko, w górze.

A po ulicy idzie dziwny pan, cały biały. Kto to?

— Piekarz, piecze bułeczki i ciasteczka.

— Tak? Więc ten pan jest Bozia?

Dziadzio umarł i zakopali go w ziemi.

— W ziemi zakopali? dziwię się. A jak mu dają jedzenie?

— Wykopują go, — mówi dziecko, — siekierą go wykopują.

Krówka daje mleko.

— Krówka? — zapytuję z niedowierzaniem. A skąd krówka bierze mleko?

— Ze studni — odpowiada dziecko.

Dziecko wierzy, bo ilekroć samo coś chce wymyślić, błądzi, ono musi wierzyć.

67

Niedoświadczone.

Opuściło szklankę na ziemię. Stało się coś bardzo dziwnego. Szklanka znikła, natomiast ukazały się zupełnie inne przedmioty. Nachyla się, bierze do rąk szkło, kaleczy się, ból, z palca płynie krew. Wszystko pełne tajemnic i niespodzianek.

Sunie przed sobą krzesło. Nagle mu coś przed oczami mignęło, szarpnęło, huknęło. Krzesło zrobiło się inne, leżąc na ziemi, a dziecko samo siedzi na podłodze. Znow ból i przestrasz. Świat jest pełen dziwów i niebezpieczeństw.

Ciągnie koldrę, by z pod niej wydobyć siebie. Tracąc równowagę, chwytając za suknię matki. Wspinając się, ujmuje krawędź łóżka. Bogate w to doświadczenie, pociąga obrus czy serwetę ze stołu. Znow katastrofa.

Poszukuje pomocy, bo samo poradzić niezdolne. W samodzielnych próbach doznaje porażki. Zależne, niecierpliwie się.

Jeśli nawet nie ufa, lub niezupełnie ufa, bo je oszukują wielokrotnie, musi iść za wskazówkami dorosłych, tak samo jak niedoświadczony pracodawca zmuszony jest tolerować nieuczciwego pracownika, bez którego obejść się nie może, jak paralityk musi przyjmować pomoc i znosić kaprysy szorstkiego pielęgniara.

Podkreślam, że każda bezradność, każde zdumienie niewiedzy, błąd w stosowaniu doświadczenia, niefortunna próba naśladownictwa, każda zależność, — przypominają nam dziecko bez względu na wiek osobnika. Bez trudu odnajdziemy cechy dziecięce w chorym, starcu, żołnierzu, więźniu. Wieśniak w mieście, mieszcuch na wsi, ma zdziwienia dziecka. Profan zadaje dziecięce pytania, parweniusz popełnia nietakty dziecięce.

68

Dziecko naśladuje dorosłych.

Tylko naśladowając, uczy się ono mówić, czyni zadość większości form światowych, stwarza pozór życia się ze środowiskiem dorosłych, których nie może rozumieć, których mu są obcy duchem i niepojęci.

Najbardziej zasadnicze błędy popełniamy w sądzie o dziecku właśnie dlatego, że istotne myśli i uczucia jego zagubione są w wyrazach, które przejęły, formach, którymi się posługują, wkładając w nie zgoła odmienną, własną treść.

— Przyszłość, miłość, ojczyzna, Bóg, szacunek, obowiązek, pojęcia, skamieniałe w wyrazach, żyją, rodzą się, wzrastają, zmieniają, krepną, słabną, są czym innym w każdym okresie życia. Trzeba użyć wiele wysiłku, by nie pomieszać kupki piasku, którą dziecko nazywa górą, ze śnieżnym szczytem Alp. Kto wmyśli się w duszę używanych przez ludzi wyrazów, temu zatrze się różnica między dzieckiem, młodzieńcem, dojrzałym, prostakiem i myślicielem, temu wyłoni się człowiek intelektualny, niezależny od wieku, warstwy, stopnia wykształcenia, pokostu kultury, jako istota, rozumująca w zakresie małego lub dużego doświadczenia. Ludzie odmiennych przekonań (mówię nie o politycznych hasłach niekiedy nieszczerych, niekiedy wtłoczonych przemocą), to ludzie o odmiennym szkielecie doświadczeń.

Dziecko nie rozumie przyszłości, nie kocha rodziców, nie przeczuwa ojczyzny, nie pojmuje Boga, nie szanuje nikogo, nie zna obowiązku. Ono mówi: „jak urosnę”, ale w to nie wierzy, nazywa matkę „najukochańszą”, ale tego nie czuje, ojczyznę jego jest ogród czy podwórko, Bóg jest poczciwym wujkiem lub dokuczliwym zrzędem, udaje ono szacunek, poddaje się obowiązkowi, wcielonym w tego, kto kazał i pilnuje, pamiętać tylko należy, że kazać można nie tylko batem, ale prośbą, łagodnym spojrzeniem. Dziecko niekiedy przeczuwa, ale są to momenty tylko, cudne jasnowidzenia.

Dziecko naśladuje? A co robi podróżny, zaproszony przez mandaryna, by brał udział w miejscowym obrzędzie czy ceremonii? Patrzy, stara się nie wyróżniać, nie wprowadzać zamieszania, chwytając istotę i związek epizodów, dumny, że się wywiązał z swej roli. Co robi nieokrzesany prostak, dopuszczony do wspólnej biesiady z panami? Dostraja się. A oficjalista, urzędnik biura, oficer czy w mowie, ruchach, uśmiechu, ubraniu, zaroście, nie naśladują patrona?

Jest jeszcze jedna forma naśladownictwa: jeśli dziewczynka, idąc przez błoto unosi krótką sukienkę, to znaczy, że jest dorosła. Jeśli chłopak naśladuje podpis nauczyciela, to sprawdza poniekąd własne kwalifikacje na wysoki urząd. I tę formę znajdziemy łatwo u dorosłych.

Egocentryzm dziecięcego światopoglądu, to też brak doświadczenia.

Od egocentryzmu osobistego, gdy jego świadomość jest ośrodkiem wszechrzeczy i wszechzjawisk, dziecko przechodzi do egocentryzmu rodzinnego, który trwa dłużej lub krócej, zależnie od warunków, w których się wychowuje; sami utrwalamy je w błędzie, przesadzając wartość domu rodzinnego, ukazując urojone i rzeczywiste niebezpieczeństwa, grożące poza osiągalnością naszej pomocy i opieki.

— Zostań u mnie — mówi ciocia.

Dziecko tuli się do matki, łzy ma w oczach, za nic nie zostanie.

— Ono do mnie tak przywiązane.

Dziecko ze zdumieniem i lękiem przygląda się tym cudzym mamom, które nie są nawet jego ciociami.

Ale nadchodzi chwila, gdy spokojnie zaczyna porównywać to, co widzi w innych domach z tem, co posiada. Zrazu pragnie tylko, też mieć taką lalkę, ogród, kanarka, ale u siebie. Później dostrzega, że są inne mamy i ojcowie, też dobrzy, może lepsi?

— Gdyby ona była moją mamą...

Dziecko podwórza i chaty wiejskiej nabywa odnośne doświadczenie wcześniej, poznaje smutki, których nikt nie dzieli, radości, które tylko najbliższych cieszą, rozumie, że dzień imienin jest tylko jego świętem.

— Mój tatuś, u nas, moja mamusia, tak często spotykane w sporach dzieci wynoszenie własnych rodziców, to raczej formuła polemiczna, niekiedy tragiczna obrona złudzenia, w które się chce wierzyć, wątpić zaczyna.

— Poczekaj, powiem ojcu...

— Dużo się twego ojca boję.

Prawda: mój ojciec jest tylko dla mnie groźny...

Nazwałbym egocentrycznym poglądem dziecka na chwilę bieżącą to, że w braku doświadczenia żyje tylko terażniejszością. Zabawa odłożona na tydzień przestaje być rzeczywistością. Zima w lecie staje się legendą. Zostawiając ciastko „na jutro”, zrzeka go się, ulegając przymusowi. Trudno mu zrozumieć, że niszczenie przedmiotów może je czynić nie od razu niezdatnymi do użytku, ale mniej trwałymi, szybciej ulegającymi zużyciu. Ciekawa bajką są opowiadania, że mama była dziewczynką. Ze zdumieniem, blizkie obawy, patrzy na obcego przybysza, który ojcu mówi po imieniu, towarzysza lat dziecińczych.

Mnie jeszcze nie było na świecie...

A egocentryzm młodzieńczy: od nas się świat zaczyna?

A egocentryzm partyjny, klasowy, narodowy, czy wielu dorasta do świadomości stanowiska człowieka w ludzkości i wszechświecie? Z jakim trudem pogodzone są z myślą, że ziemia krąży, jest tylko planetą? A głębokie przekonanie mas, wbrew rzeczywistości, że okropności wojny niemożliwe są w dwudziestym stuleciu? Nasz stosunek do dzieci czy nie jest wyrazem egocentryzmu dorosłych?

70

Spostrzegawczość dziecka.

Na ekranie kinematografu wstrząsający dramat.

Nagle rozlega się donośny okrzyk dziecka:

— Ooo, piesek...

Nikt nie zauważył, ono dostrzegło.

Podobne okrzyki słyszy się niekiedy w teatrze, na wystawie obrazów, w kościele, podczas wielu uroczystości; płoszą one najbliższych, wywołują łagodny uśmiech ogółu.

Nie obejmując całości, nie wymyślone w niezrozumiałą treść, dziecko wita szczęśliwe znajomy, blizki szczegół. Ale tak samo i my witamy radośnie twarz spotkaną przypadkowo w licznym, obojętnym, krępującym nas towarzystwie...

Dziecko nie mogąc żyć bezczynnie, wejdzie w każdy kąt, zajrzy do każdej szparki, odszuka, spyta ciekawe. Ciekawy dla niego ruchomy punkcik mrówki, błyszczący paciorek, zasłyszany wyraz czy zdanie. Jakże podobni jesteśmy do dzieci w obcym mieście, w wyjątkowym środowisku...

Dziecko zna otoczenie, jego humory, nałogi, słabostki, zna i dodać można, umiejętnie je wyzyskuje. Przeczuwa życzliwość, odgaduje obłudę, chwytą w lot śmieszność. Ono tak czyta w twarzy, jak wieśniak wyczytuje z nieba, jaką wróży pogodę. Bo i ono całymi latami wpatruje się i bada; w szkołach, internatach, ta praca przenikania nas, prowadzi się wspólnymi siłami, zbiorowym wysiłkiem. Tylko my jej widzieć nie chcemy; dopóki nam nie zakłóca miłego spokoju, wolimy ludzić się, że ono naiwne, nie wie, nie rozumie, łatwo się da zwieść pozorom. Inne stanowisko postawiłoby nas wobec dylematu: albo otwarcie zrzec się przywileju rzekomej doskonałości, albo wypłenić z siebie to, co nas w ich oczach poniża, ośmiesza, zuboża.

71

Podobno dziecko w poszukiwaniu coraz nowych wzruszeń i wrażeń niczem nie może zająć się na długo, nawet zabawa szybko się przykrzy; a przyjaciel z przed godziny jest mu już wrogiem, by po chwili znów być serdecznym druhem.

Spostrzeżenie naogół prawdziwe: dziecko w wagonie kolei bywa kapryśne; niecierpliwi się, posadzone na ławce w ogrodzie; dokuczliwe na wizycie; ulubiona zabawka już w kąk zrucona; na lekcji się wierci; nawet w teatrze nie usiedzi spokojnie.

Zważmy jednak, że podczas podróży jest podniecone i zmęczone, że na ławce je posadzono, że na wizycie jest skrepowane, że zabawkę i towarzysza mu wybrano, do lekcji zmuszono, a rwało się do teatru, bo wierzyło, że przyjemnie czas spędzi.

Jak często podobni jesteśmy do dziecka, które przystroiło kota we wstążkę, częstuje go gruszką, daje mu do oglądania malowanki, i dziwi się, że niecnota pragnie się wymknąć taktownie lub zropaczony zadrapie.

Dziecko na wizycie chciałoby zobaczyć, jak się otwiera pudełko, stojące na konsoli, co się tam błyszczy w kącie, czy w dużej książce są obrazki; chciałoby złapać złotą rybkę w akwarjum i zjeść dużo czekoladek. Ale niczem nie zdradzi swych chęci, bo brzydki.

— Chodźmy do domu, — mówi źle wychowane...

Zapowiadano mu zabawę: będą chorągiewki, ognie sztuczne, przedstawienie, czekało, zawiodło się.

— No cóż, dobrze się bawisz?

— Doskonale, — odpowiada ziewając lub tłumiąc ziewanie, żeby nie urazić...

Kolonie letnie. Opowiadam w lesie bajkę. W ciągu opowiadania jeden z chłopców odchodzi, potem drugi i trzeci. Dziwi mnie to, więc zapytuję nazajutrz: jeden położył kijek pod krzakiem, przypomniał sobie podczas bajki, bał się, by mu nie zabrano; drugiego bolał skaleczony palec, a trzeci nie lubi zmyślonych bajek. Czy dorosły nie opuści przedstawienia, gdy go nie zajmuje, gdy mu ból dokucza, gdy w kieszeni palta zapomniał pugilares?

Mam liczne dowody, że dziecko wiele tygodni i miesięcy może się zajmować tem samem i nie pragnie zmiany. Ulubiona, jedna z zabawek nigdy nie traci dlań uroku. Tę samą bajkę wiele razy z równą ciekawością wysłucha. I odwrotnie, mam dowody, że matkę niecierpliwi jednostajność zainteresowań dziecka. Wieleż razy zwracają się do lekarza matki, by „urozmaicił dyjetę, bo kaszki i kompoty dziecku się już sprzykrzyły”.

— One się pani naprzykrzyły, nie dziecku, zmuszony byłem tłumaczyć.

72

Nuda, temat gruntownych studjów.

Nuda, samotność, brak wrażeń; nuda, ich nadmiar, wrzawa, rozgardiasz. Nuda: nie wolno, poczekaj, ostrożnie, nieładnie. Nuda nowej sukienki, skrepowania, zażenowania, nakazów, zakazów, obowiązków.

Pół-nuda balkonu i wyglądania przez okno, przechadzki, wizyty, zabawy z przypadkowymi, niedobranymi towarzyszami.

Nuda ostra, jak gorączkowa choroba, i przewlekła, jątrząca, z obostrzeniami.

Nuda, złe samopoczucie dziecka; więc upał, nadmierny chłód, głód, pragnienie, nadmiar spożytych pokarmów, senność i nadmiar snu, ból i znużenie.

Nuda-apatja, obojętność na bodźce, słaba ruchliwość, małomówność, osłabienie życiowego tętna. Dziecko leniwie wstaje, chodzi pochylone powłócząc nogami, przeciąga

się, odpowiada mimiką, monosylabami, cichym głodem, skrzywieniem niechęci. Nie żąda, ale wrogo spotyka każde ku niemu zwrócone żądanie. Pojedyncze nagłe wybuchy, niezrozumiałe, słabo motywowane.

Nuda, wzmożona ruchliwość. Nie usiedzi chwili na miejscu, nie zajmie się niczem dłużej, kapryśne, niekarne, złośliwe, zaczepia, naprzykrza się, obraża, płacze, gniewa. Niekiedy rozmyślnie wywoła awanturę, by w spodziewanej karze otrzymać pożądane silne wrażenie.

Często widzimy tam upór świadomie złej woli, gdzie istnieje bankructwo woli, tam nadmiar energii, gdzie jest rozpacz znużenia.

Nuda nabiera niekiedy cech zbiorowej psychozy. Nie mogą zorganizować zabawy, czy zażenowane, czy niedobrane wiekiem i usposobieniem, czy w niezwykłych warunkach, wpadają w szal bezmyślnego hałasu.

Krzyczą, potracając ciągną za nogi, przewracają, kręcą w kółko aż do utraty przytomności i padają na ziemię; podniecają się wzajemnie, śmieją przymuszonym śmiechem. Najczęściej katastrofa przerywa „zabawę”, zanim dojrzeje reakcja: bójka, podarte ubranie, złamane krzesło, silniejsze uderzenie uczestnika, więc zmieszanie i oskarżanie wzajemne. Niekiedy nastrój hałasu dogasa, czyjeś „Przestańcie warjować, lub wstyďte się, co wyrabiacie”, inicjatywa przechodzi w energiczne ręce, i bajka, śpiew chóralny, rozmowa.

Obawiam się, że te niezbyt częste patologiczne stany zbiorowej drażliwej nudy, niektórzy z wychowawców skłonni są uważać za normalną zabawę dzieci „samopas puszczo-nych”.

73

Nawet zabawy dzieci, traktowane feljetonowo, nie doczekały się jeszcze gruntownych studjów klinicznych.

Należy pamiętać, że bawią się nie tylko dzieci, ale i dorośli, że dzieci niezawsze bawią się chętnie, że nie wszystko, co zwiemy zabawą, jest nią istotnie, że wiele zabaw dzieci jest naśladownictwem poważnych czynności ludzi dojrzałych, że inne są zabawy na wolnym terenie, inne w murach miasta i ścianach pokoju, że zabawy dziecka wolno nam rozpatrywać li tylko pod kątem widzenia zajmowanego przez nie w współczesnym społeczeństwie stanowiska.

Piłka.

Zobacz wysiłki najmłodszego, by ją ująć z ziemi, by w zamierzonym kierunku kulać po podłodze.

Zobacz mozolne ćwiczenia starszego, by chwycić ją prawą i lewą ręką, odbić kilkakrotnie o ziemię, o ścianę, podbić palantem, trafić do celu. Kto najdalej, kto najwyżej, kto najcelniej, kto największą ilość razy? Emulacja, poznawanie swej wartości przez porównanie, tryumfy i porażki, doskonalenie się.

Niespodzianki, częstokroć o charakterze komicznym. Już trzymał, a wyslizgnęła się; odbiła się o jednego i wpadła drugiemu prosto w ręce; chwytając, stuknęli się głowami; wpadła pod szafę i sama pokornie wychodzi.

Wzruszenia. Upadła na trawę, ryzyko podjęcia. Zginęła, poszukiwania. Omal szyby nie wybiła. Wleciała na szafę, jak ją zdjąć, narada. Uderzył czy nie? kto winien: ten, co krzywo rzucił czy ten, który nie złapał? Ożywiony spór.

Indywidualne urozmaicenia. Zwodzi: udaje, że rzuci; celuje w jednego, a w drugiego bije; schował zręcznie, niby że niema. Dmucha w rzuconą piłkę, żeby prędzej leciała; niby się przewrócił przy chwytaniu; próbuje łapać ustami; udaje, że się boi, gdy do niego rzucają; udaje, że go mocno uderzyła. Biję piłkę: „ty piłka, ja ci dam”. „Tam coś stuka w piłce”, potrzęsają, słuchają.

Są dzieci, które same nie grając, lubią się przyglądać, jak dorośli, grającym w bilard czy w szachy. I tu są ruchy ciekawe, błędne i genialne.

Celowość ruchu, to tylko jedna z wielu cech, czyniących ten sport miłym.

74

Zabawa jest nie tyle żywiołem dziecka, ile jedyną dziedziną, gdzie mu zezwalamy na inicjatywę w węższym lub szerszym zakresie. W zabawie dziecko czuje się do pewnego stopnia

niezależnym. Wszystko inne jest przelotną łaską, chwilową koncesją, do zabawy dziecko ma prawo.

Bawiąc się w konie, wojsko, zbójów, straż ogniową, ono wyładowuje energię w pozorach celowych ruchach, chwilowo ulega złudzeniu lub świadomie ucieka od szarzyzny istotnego życia. Dzieci dlatego tak cenią udział rówieśników o żywej wyobraźni, wielostronnej inicjatywie, zapasie poczerpniętych z książek motywów, tak pokornie ulegają ich częstokroć despotycznej władzy, że dzięki nim mgliste urojenie przybiera się snadniej w pozory rzeczywistości. Dzieci krępują się obecnością dorosłych i obcych, wstydzą się swych zabaw, zdając sobie sprawę z ich nicości.

Ile w zabawach dzieci jest gorzkiej świadomości o brakach rzeczywistego życia, ile bolesnej doń tęsknoty.

Kijek nie jest dla dziecka koniem, ono w braku prawdziwego musi się pogodzić z drewnianym. Jeśli na przewróconym krześle płyną po pokoju, to nie jest przejazdka łódką po stawie.

Gdy dziecko ma w planie dnia kąpiel bez ograniczeń, las z jagodami, wędkę, gniazda ptaków na wysokich drzewach, gołębnik, kury, króliki, śliwki w cudzym sadzie, kwietnik przed domem, zabawa staje się zbędną lub zmienia gruntownie charakter.

Które zamieni żywego psa na wypchanego, na kółkach? które odda kuca za konia na biegunach.

Ono zwraca się do zabawy pod przymusem, ucieka do niej przed złą nudą, tuli się przed groźną pustką, kryje przed zimnym obowiązkiem. Tak, dziecko woli się nawet bawić, niż wkuwać w pamięć formuły gramatyczne lub tabliczkę mnożenia.

Dziecko przywiązuje się do lalki, szczygła, kwiatka w doniczce, bo nie ma jeszcze nic więcej, więziń lub starzec tak samo się przywiązują, bo już nic nie mają. Dziecko bawi się byle czym, by czas zabić, bo nie wie co robić, bo nie ma nic innego.

Słyszemy, jak dziewczynka wyklada lalce prawidła dobrego tonu, jak ją poucza i strofuje; ale nie słyszemy, jak w łóżko skarży się przed nią na otoczenie, zwierza się jej szeptem ze swych trosk, niepowodzeń i marzeń.

— Ja ci powiem, lalusiu, tylko nie powtarzaj nikomu.

— Ty dobry, piesku, ja się na ciebie nie gniewam, ty mi nic złego nie zrobiłeś.

Samotność dziecka daje lalce duszę.

— To nie raj dziecięcy, a tragedia.

75

Pastuch woli grę w karty, niż piłkę: dość się nabiega, goniąc za krowami. Mały sprzedawca gazet lub „uczeń na posyłki” tylko w początkach kariery biegają forsownie; rychło uczą się dozować wysiłek, rozkładając go na dzień cały. Nie bawi się lalką dziecko, które musi piastować niemowlę; przeciwnie, ucieka od przykrego obowiązku.

Więc dziecku niemiła jest praca? Praca dziecka ubogiego jest utylitarna, nie wychowawcza, nie liczy się z jego siłami ani cechami indywidualnymi. Byłoby śmieszne podawanie za wzór życia biednych dzieci: tu też jest nuda, zimowa nuda ciasnej izby i letnia podwórka czy przydrożnego rowu; ona tylko ma inną formę. Ani oni, ani my nie możemy wypełnić dziecku dnia, by ich szereg, logicznie powiązany, rozwijał barwną treść życia, od wczoraj przez dziś do jutra.

Liczne zabawy dzieci są pracą.

Jeśli we czworo budują szalaz, kopią skrawkiem blachy, szkłem, gwoździem, wbijają kołki, wiążą, pokrywają dachem z gałęzi, mchem wyściełając, pracując naprzemian z wysiłkiem i milcząco, to ospale, ale projektując ulepszenia, rozwijając dalsze plany, dzieląc się wynikami zdobytych spostrzeżeń, to nie zabawa a nieumiejętna praca niedoskonałymi narzędziami, niedostatecznym materiałem, więc mało owocna, ale zato zorganizowana tak, że każde zależnie od wieku, sił, kompetencji, wkłada tyle wysiłku, na ile je stać.

Jeśli pokój dziecienny, wbrew naszym zakazom, tak często bywa warsztatem i składem rupieci, więc materiału do wykonania zamierzonych robót, czy nie w tym kierunku należy zwrócić poszukiwania? Może do pokoju małego dziecka potrzebne nie linoleum, a fura zdrowego żółtego piasku, spora wiązka patyków i taczka kamieni? Może deska, tektura, funt gwoździ, piła, młotek, tokarnia byłyby miłszym podarkiem, niż „zabawka”,

a nauczyciel rzemiosł pożyteczniejszy, niż mistrz gimnastyki czy pianina. Ale trzeba by z dziecinnego pokoju przepędzić szpitalną ciszę, szpitalną czystość i obawę o zadrapanie palca.

Rozumni rodzice z uczuciem przykrości rozkazują: „baw się”, i z bólem słyszą odpowiedź: „ciągle się tylko bawić i bawić”. Cóż poczną, gdy nic innego nie mają?

76

Wbrew temu, co powiedziano powyżej, są dzieci, którym ani samotność zbyt nie dokucza, ani odczuwają potrzebę czynnego życia. Tych cichych, stawianych za przykład przez cudze matki „nie słyhać” w domu. Nie nudzą się, same wynajdą zabawę, którą na żądanie rozpoczną, na żądanie przerwą posłusznie. To dzieci bierno, niewiele i słabo chcą, więc łatwo ulegają, urojenie zastąpi im rzeczywistość, tembardziej, że tego sobie życzą dorośli.

W gromadzie one się gubią, urażają boleśnie o jej szorstką obojętność, nie podążają za jej rwącym nurtem. Zamiast poznać, i tu matki pragną przerobić, narzucić przemocą to, co tylko zwolna i ostrożnie da się wypracować w nużącym wysiłku drogą, usianą doświadczeniem wielu niepowodzeń, nieudanych prób i bolesnych upokorzeń. Każdy nieogłędny nakaz pogarsza stan rzeczy. „Idź się bawić z dziećmi”, tak samo je krzywdzi, jak inne: „dość będzie tej zabawy”.

Jakże je łatwo poznać można w tłumie, o ile się umie dostrzedz.

Przykład: zabawa w ogrodzie, w koło. Parę dziesiątków śpiewa, trzymając się za ręce, a dwoje w środku gra główną rolę.

— No, idźcie się bawić z niemi.

Ona nie chce, bo nie zna zabawy tej, nie zna dzieci, bo gdy próbowała kiedyś tam, powiedziano jej: „nie trzeba, już mamy dość”, albo: „niezdara jesteś”. Może jutro, za tydzień, znów spróbuje. Ale matka nie chce czekać, robi jej miejsce, przemocą pcha. Nieśmiała, niechętnie bierze za ręce sąsiadów, pragnie, by jej nie zauważono, będzie sobie stać, może się zainteresuje powoli, może uczyni pierwszy krok pogodzenia się z nowym zbiorowym życiem. Ale matka popełnia nowy nietakt: pragnie ją zachęcić ponętą żywszego udziału:

— Dziewczynki, dlaczego ciągle te same są w kole? O, ta jeszcze nie była: wybierzcie ją.

Jedna z wodzirejów odmawia, dwie inne przystają ale niechętnie.

Biedna debiutantka w nieżyczliwym zespole.

Scena ta zakończyła się łzami dziecka, gniewem matki, zamieszaniem wśród uczestników koła.

77

Koło, obserwowane w ogrodzie, jako ćwiczenie praktyczne dla wychowawców: ilość dostrzeżonych momentów. Obserwacja generalna (trudna, wszystkich dzieci, biorących w grze udział), indywidualna (jednego, dowolnie wybranego dziecka).

Inicjatywa, zawiązek, rozkwit i upadek koła. Kto daje hasło, organizuje, prowadzi, którego ustąpienie rozwiązuje zebranie? Które dzieci wybierają sąsiadów, które biorą za ręce dwoje przypadkowych? Które rozłączają się chętnie, by dać miejsce nowemu uczestnikowi, które protestują? Które często zmieniają miejsce, które przez cały czas zajmują to samo? Które w przerwach cierpliwie czekają, które się niecierpliwia: „no prędeż, no zaczynajmy”. Które stoją nieruchomo, które przestępują z nogi na nogę, bujają rękami, śmieją się głośno? Które ziewają, ale nie odchodzą, które opuszczają zabawę, czy bo ich nie zajmuje, czy obrażone; które natarczywie się napierają, aż otrzymają jedną z głównych ról w zabawie? Matka chce doczepić małe dziecko; jedno; „nie, on za mały”, drugie: „co ci to szkodzi, niech sobie stoi”.

Gdyby dorosły kierował zabawą, wprowadziłby kolej, powierzchownie sprawiedliwy podział ról, i sądząc, że pomaga wniósłby przymus. Dwoje, niemal ciągle ci sami, biegają (kotek i myszka), grają (bąk), wybierają (koszyczek), pozostałe zapewne się nudzą? Jedno patrzy, drugie słucha, trzecie śpiewa szeptem, półgłosem, głośno, czwarte ma niewyraźną ochotę, ale się waha, serce mocno mu bije. A dziesięcioletni wodzirej-psycholog, ocenia szybko, ogarnia, panuje.

W każdym zbiorowym czynie, więc i w zabawie, robiąc to samo, różnią się bodaj w jednym najdrobniejszym szczególe.

I poznajemy, czym ono jest w życiu, wśród ludzi, w działaniu, jaka jego wartość nie ukryta, a rynkowa, co wchłania, co zdolne dać z siebie, jak to tłum ceni, jaka jest jego samodzielność, odporność przeciw zbiorowej sugestji. Z intymnej rozmowy wiemy, czego pragnie, z obserwacji w gromadzie, co zdolne urzeczywistnić, tu, jaki jest jego stosunek do ludzi, tam, tego stosunku ukryte motywy. Jeśli widujemy dziecko tylko samo, poznamy je tylko jednostronnie.

Jeśli ma posłuch, czym go uzyskało, jak z niego korzysta: jeśli nie, czy go pożąda, czy cierpi, czy się gniewa, czy dąży czy biernie zazdrości, nalega, czy ustępuje? Czy oponuje często czy rzadko, ma słuszność czy nie, kieruje się ambicją czy kaprysem, taktownie czy brutalnie narzuca swą wolę? Czy unika tych, którzy nim przewodzą, czy łączy do nich?

— Słuchajcie, zróbmy tak. Poczekajcie, tak będzie lepiej, ja się nie bawię. No dobrze, więc powiedz, jak ty chcesz.

78

Czem są spokojne zabawy dzieci, jeśli nie rozmową, wymianą myśli, snuciem marzenia na obrany temat, udramatyzowanym snem o potędze. Bawiąc się wygłaszają istotne swe poglądy, jak autor w akcji powieści czy sztuki rozwija myśl zasadniczą. Dlatego dojrzą tu częstokroć nieświadomą satyrę na dorosłych, gdy się bawią w szkołę, składają wizyty, przyjmują gości, częstują lalki, kupują i sprzedają, godzą i odprawiają służbę. Zabawę w szkołę biernie traktują poważnie, pragną uzyskać pochwałę, czynne obierają rolę psotników, których wybryki często wywołują zbiorowe protesty; czy nie zdradzają się bezwiednie, że taki jest ich istotny stosunek do szkoły?

Nie mogąc iść bodaj do ogrodu, dziecko tem chętniej odbywa podróże po oceanach i bezludnych wyspach; nie mając nawet psa, któryby go słuchał, butnie dowodzi pulkiem, nie będąc niczem, pragnie być wszystkim. Ale czy tylko dziecko? Czy partje polityczne w miarę jak zyskują wpływ na bieg spraw publicznych nie zamieniają zamków na lodzie na razowiec realnych zdobyczy?

Niechętnie widziane bywają przez nas niektóre zabawy, dociekania i próby. Dziecko chodzi na czworakach i szczeka, by się przekonać, jak radzą sobie zwierzęta, udaje kulawego, starca zgarbionego, zezuje, jąka się, zatacza jak pijany, naśladuje widzianego na ulicy wariata, chodzi z zamkniętymi oczami (niewidomy), zatyka uszy (głuchy), kładzie się nieruchomo i wstrzymuje oddech (umarły), patrzy przez okulary, pociąga papierosa, w tajemnicy nakręca zegarek; obrywa musze skrzydła: jak ona będzie latała; magnesem chwytą stalówkę; ogląda uszy (co tam za bębenki), gardło (co tam za migdały); proponuje dziewczynce zabawę w doktora w nadziei, że zobaczy, jak tam jest w niej; biegnie ze szkląm palącym na słońce, słucha, co w muszli szumi, uderza krzemieniem o krzemień.

Wszystko o czym się może przekonać, chce widzieć, sprawdzić, doświadczyć; i tak pozostaje tyle, czemu trzeba wierzyć na słowo.

Powiadają, że jest jeden księżyc, a wszędzie go widać.

— Słuchaj, ja stanę za płotem, a ty stań w ogródku.

Zamknęli furtkę.

— No co, w ogrodzie jest księżyc?

— Jest.

— I tu jest.

Zmienili się miejscami, sprawdzili powtórnie: teraz mają pewność, księżyców jest dwa.

79

Osobne miejsce zajmują zabawy, których celem wypróbowanie sił, poznanie swej wartości; a to da się tylko osiągnąć przez porównanie z innymi.

Więc kto stawia większe kroki, ile kroków przejdzie z zamkniętymi oczami; kto dłużej stać będzie na jednej nodze, nie mrugnie oczami, nie roześmieje się, patrząc w oczy; kto może dłużej nie oddychać? Kto głośniej krzyknie, dalej plunie, wyżej puści strumień uryny lub rzuci kamień? Kto skoczy z większej liczby schodków, wyżej i dalej skoczy, dłużej

wytrzyma ból ściskanego palca? Kto prędzej dobiegnie do mety, kto kogo podniesie, przeciągnie, przewróci?

— Ja mogę. Ja umiem. Ja wiem. Ja mam.

— Ja mogę lepiej. Wiem więcej. Moje lepsze.

A potem:

— Moja mama i ojciec, mogą, mają.

W ten sposób zyskuje się poważanie, zajmuje odpowiednie stanowisko we własnym środowisku. A pamiętać należy, że pomyślność dziecka nie zależy wyłącznie od tego, jak je cenią dorośli, ale w równym a może większym stopniu zależna jest od opinii rówieśników, którzy mają inne, tem niemniej trwale zasady w ocenie wartości i udzielaniu praw członkom swego społeczeństwa.

Pięcioletnie może być dopuszczone do towarzystwa ośmioletnich, a te mogą być tolerowane przez dziesięcioletnie, które już same chodzą po ulicy, mają piórniki na kluczyki i notes. Taki starszy o dwie klasy wiele wyjaśni wątpliwości, za pół ciastka lub za darmo, wtajemniczy, wykształci.

— Magnes przyciąga żelazo, bo jest namagnesowany. Najlepsze konie są arabskie, bo mają cienkie nogi. Królowie nie mają czerwonej krwi, tylko niebieską. Lew i orzeł zapewne też mają niebieską krew (trzeba się o to jeszcze kogoś zapytać). Jeżeli trup weźmie kogoś za rękę, to już nie można wyrwać. W lesie są takie kobiety, które zamiast włosów mają na głowie żmije: sam widział na obrazku, nawet w lesie widział, ale zdaleka, bo zblizka jak spojrzy, to człowiek zamienia się w kamień (pewnie kłamie?) On widział topielca, wie jak się rodzą dzieci i umie z papieru zrobić portmonetkę.

I nie tylko mówi, że umie, ale zrobił portmonetkę z papieru: mama tego nie umie.

80

Gdybyśmy nie lekceważyli dziecka, jego uczuć, dążeń, życzeń, więc i zabaw, rozumieliśmy, że słusznie z jednym chętnie przestaje, drugiego unika, z musu się spotyka i niechętnie bawi. Można się pobić z najlepszym przyjacielem, ale rychło następuje zgoda, z niemilym bez wyraźnej sprzeczki nie chce przestawać.

— Nie można się bawić, bo byle czego płacze, zaraz się obraża, skarży się, krzyczy i wariuje, chwali się, bije, chce przewodzić, plotkuje, oszukuje, — fałszywe, niezgrabne, małe, głupie, brudne, brzydkie.

Takie jedno małe piskliwe i dokuczliwe, psuje całą zabawę. Przyjrzyj się wysiłkom dzieci, by je unieszkodliwić! Starsze chętnie dopuszczają do zabawy i małe, bo i ono może się przydać, ale niech mu wystarcza drugorzędna rola, niech nie przeszkadza.

— Daj mu, ustąp, pozwól: ono małe.

Nieprawda: dorośli nie ustępują wcale dzieciom...

Dlaczego nie lubi chodzić tam z wizytą? Tam są dzieci, toż chętnie się z nimi bawi.

Chętnie, ale u siebie albo w ogrodzie. A tam jest pan, który krzyczy, tam całują natrętnie, służąca go obraża, starsza siostra ich drażni się, tam jest pies, którego się boi. Ambicja nie pozwala mu podać istotnych motywów, a matka sądzi, że kaprys.

Nie chce iść do ogrodu. Dlaczego? Bo mu starszy chłopiec zagroził, że zbije, bo bona jednej dziewczynki zapowiedziała, że się poskarży, bo mu ogrodnik kijem groził, gdy szedł na trawnik po piłkę; bo obiecał przynieść chłopcu markę, a gdzieś mu się podziała.

Są dzieci kapryśne, widziałem ich parę dziesiątków podczas godzin przyjęć lekarskich. Te dzieci wiedzą czego chcą, ale tego im nie dadzą: im tchu brak, one się duszą pod ciężarem troskliwej opieki. Jeśli naogół stosunek dzieci do dorosłych jest chłodny, te patologicznie kapryśne dzieci pogardzają i nienawidzą swego otoczenia. Nierozumną miłością można katować dzieci; prawo winno je wziąć pod opiekę.

81

Przystroiliśmy dzieci w uniform dziecięctwa i wierzymy, że nas kochają, szanują, ufają, że są niewinne, łatwowierne, wdzięczne. Gramy bez zarzutu rolę bezinteresownych opiekunów, rozrzewniamy się myślą o ponoszonych ofiarach i, rzec można, dobrze nam jest z nimi do czasu. One zrazu wierzą, potem wątpią, usiłują usunąć zakradające się

podstępnie podejrzania, niekiedy próbują z niemi walczyć, a widząc bezowocność walki, zaczynają nas zwodzić, podkupywać, wyzyskiwać.

Wyłudniają prośbą, wdzięcznym uśmiechem, pocałunkiem, żartem, posłuszeństwem, kupują za czynione nam ustępstwa, zrzadka i taktownie dają do zrozumienia, że mają pewne prawa, niekiedy dokuczliwością wymuszają, niekiedy otwarcie się pytają; a co wzajemian dostaną.

Sto odmian uległych i zbuntowanych niewolników.

— Nieladnie, niezdrowo, grzech. Pani mówiła w szkole. Oj, żeby to mamusia wiedziała.

— Jak nie chcesz, to możesz sobie iść. Twoja pani taka mądra, jak i ty. Niech sobie mama wie: i cóż mi zrobi?

Nie lubimy, gdy strofowane dziecko „mruży coś pod nosem”, bo w gniewie cisną się na usta szczerze słowa, których nie jesteśmy ciekawi.

Dziecko ma sumienie, ale jego głos milczy w drobnych codziennych utarczkach, natomiast wypływa tajona niechęć do despotycznej więc niesprawiedliwej władzy silnych, więc nieodpowiedzialnych.

Jeśli dziecko lubi wesołego wujka, to że dzięki niemu ma chwilę swobody, że wnosi życie, że mu dał podarek. A podarek ten cenny, że zaspokoił dawno pieszczone marzenie. Dziecko o wiele mniej ceni prezenty, niż sądzimy, niechętnie przyjmuje je od ludzi niemiłych: „myśli, że mi łaskę robi”, burzy się upokorzone.

82

Dorośli nie są mądrzy; nie umieją korzystać ze swobody, którą mają. Oni tacy szczęśliwi, wszystko mogą kupić, co chcą, wszystko im wolno, a zawsze się o coś złością, o byle co krzyczą.

Dorośli nie wiedzą wszystkiego: często odpowiadają, aby zbyć, albo żartem, albo tak, że nie można zrozumieć; jeden mówi tak, drugi inaczej, i niewiadomo, kto mówi prawdę. Ile jest gwiazd? Jak będzie po murzyńsku: kajet? Jak człowiek zasypia? Czy woda żyje i skąd ona wie, że jest zero ciepła, że ma się z niej zrobić lód? Gdzie jest piekło? Jak ten pan zrobił, że w kapeluszu z zegarków ugotowała się jajecznicza, i zegarki są całe, i kapelusz się nie zepsuł: czy to jest cud?

Oni nie są dobrzy. Rodzice dają dzieciom jeść, ale muszą dawać, bobyśmy umarli. Na nic dzieciom nie pozwalają, śmieją się, jak coś powiedzieć, zamiast wytłomaczyć, umyślnie się drażnią, żartują sobie. Są niesprawiedliwi, a jak ich kto oszuka, to mu wierzą. Lubią, żeby im się lizać. Jak są w dobrym humorze, to wszystko wolno, ale jak źli, wszystko im przeszkadza.

Dorośli kłamią. To kłamstwo, że od cukierków robią się robaki, a jak nie jeść, to się cyganie śnią, a jak się ogniem bawić, to się ryby łowi, a jak się nogami buja to się djabła kołysze. Oni nie dotrzymują słowa: obiecują, a potem zapominają, albo się wykręcają, albo niby za karę nie pozwalają: i tak by nie pozwolili przecież.

Każą mówić prawdę, a jak powiedzieć, to się obrażają. Oni są fałszywi: w oczy mówią co innego, a za oczy też co innego. Jak kogoś nie lubią, to udają, że lubią. Ciągłe tylko: „proszę, dziękuję, przepraszam, kłaniam się”, myślałby kto, że naprawdę.

Usilnie proszę zwrócić uwagę na wyraz twarzy dziecka, gdy wesoło biegnie, w zapale powie lub zrobi coś zdroźnego, i nagle zostaje ofuknięte brutalnie.

Ojciec pisze; dziecko przybiega z nowiną i chwytą go za rękaw. Ono ani przeczuwa, że robi się kleks na ważnym dokumencie. Zgromione patrzy pełnym zdumienia wzrokiem: co się nagle stało?

Doświadczenie paru niestosownych pytań, nieudanych żartów, zdradzonych tajemnic, niebaczných zwierzeń, uczy dziecko odnosić się do dorosłych, jak do oswojonych ale dzikich zwierząt, których nigdy nie można być dość pewnym.

83

Prócz lekceważenia i niechęci, w stosunku dzieci do dorosłych można się dopatrzeć i pewnego wstrętu.

Kołąca broda, szorstka twarz, zapach cygara, urażają dziecko. Po każdym pocałunku sumiennie twarz wyciera, dopóki nie zabronią. Większość dzieci nie znosi, gdy brać je na kolana; gdy je weźmiesz za rękę, łagodnie powoli ją usuwają. Tolstoj zauważył tę cechę wiejskich dzieci, jest ona właściwa wszystkim, nie zdeprawowanym, nie zahukanym w uległości.

O odorze potu, silnym zapachu perfum dziecko z obrzydzeniem mówi: „śmierdzi”, dopóki nie pouczą, że to brzydki wyraz, że perfumy pachną, tylko ono się nie zna...

Ci różni panowie i panie, którzy mają odbijania, łamania, parcia, którym gorzko w ustach, szkodzi im przeciąg, wilgoć, boją się jeść na noc, kaszel ich dusi, zębów brak, po schodach trudno im chodzić, czerwoni, otyli, sapiący, paskudne to jakieś wszystko.

Te ich pieśczośliwe zwroty, głaskania, tulenia, klepania, ta poufałość, lekceważenie, pobłażliwość, bezsensowne pytania, śmiech nie wiadomo z czego.

— Do kogo podobna? Ho, ho, jaki duży. Patrzenie, jak to rośnie.

Dziecko zażenowane czeka, kiedy się to skończy..

Dla nich powiedzieć przy wszystkich: „ej, bo zgubisz majtki”, albo: „ryby łowić będziesz w nocy”, to nic. Oni są nieprzyzwoici...

Dziecko czuje się czystsze, lepiej wychowane, bardziej godne szacunku. Zresztą sami to mówią czasem.

— Boi się jeść, boi się wilgoci. Tchórze: ja się wcale nie boję. Jak się boją, niech siedzą za piecem, dlaczego nam zabraniają?

Deszcz: wybiegnie z ukrycia, postoi na ulewie, ze śmiechem ucieka, przyklepuje włosy. Mróz: zegnije ręce w łokciach, zgarbi się, wzniesie ramiona, wstrzymuje oddech, napina mięśnie, palce grabieżą, wargi sine, patrzy na pogrzeb, na bójkę uliczną, biegnie się rozgrzać: brr, zmarzłem, wesoło.

Biedni ci starzy, którym wszystko przeszkadza.

I bodaj czy nie jedyne dobre uczucie, które dziecko stale do nas żywi, jest — litość.

— Widać im coś przeszkadza, kiedy nie są szczęśliwi.

Tatuś biedny pracuje, mama słaba, oni niedługo umrą, biedni, nie należy ich martwić.

84

Zastrzeżenie.

Obok powyższych uczuć, których dziecko niewątpliwie doznaje, obok nasuwających się własnych refleksji, dziecko rozumie obowiązki; nie wyzwala się całkowicie z narzuconych poglądów i uczuciowych sugestii. Czynne wyraziściej i szybciej, bierne później i mgliściej, przeżywają konflikty rozdwojonej jaźni. Czynne samodzielnie snuje, biernemu „otwiera oczy” towarzysz niedoli, niewoli, żadne nie systematyzuje, jak to ja uczyniłem. Dusza dziecka jest równie złożona, jak nasza, pełna podobnych sprzeczności, tragicznie zmagająca się w odwiecznym: pragnę, ale nie mogę, wiem że należy, ale nie podołam.

Wychowawca, który nie wtłacza a wyzwala, nie ciągnie a wznosi, nie ugniata a kształtuje, nie dyktuje a uczy, nie żąda a zapytuje, przeżyje wraz z dzieckiem wiele natchnionych chwil, łzawym wzrokiem nieraz patrzeć będzie na walkę anioła z szatanem, gdzie biały anioł tryumf odnosi.

Sklamał. Wziął pokryjomu konfiturę z tortu. Podniósł dziewczynce sukienkę. Rzucił kamienie w żaby. Śmiał się z garbusa. Złamał figurkę i złożył, żeby nie było znać. Palił papierosa. Zły był i przeklął ojca w myśli.

Postąpił źle i czuje, że nie ostatni raz, że go znów coś skusi, że znów go namówią.

Bywa, że dziecko staje się nagle ciche, pokorne i czułe. Znają to dorośli: „widocznie ma coś na sumieniu”. Często tę dziwną zmianę poprzedza burza uczuć, łzy duszone w poduszkę, postanowienia, uroczysta przysięga. Bywa, że gotowiśmy przebaczyć, byleśmy otrzymali zapewnienie, ach nie gwarancję, ale złudzenie, że psota się nie powtórzy.

— Ja nie będę inny. Ja nie mogę obiecać.

Nie upór a uczciwość dyktuje te słowa.

— Ja rozumiem, co pan mówi, ale ja nie czuję — powiedział mi dwunastoletni chłopiec.

Tę szacunku godną uczciwość spotykamy i u dzieci ze złemi skłonnościami:

— Ja wiem, że nie należy kraść, że to wstyd i grzech. Ja nie chcę kraść, ja nie wiem, czy znów nie ukradnę. Ja niewinien!

Bolesne chwile przeżywa wychowawca, widząc własną bezsilę w bezradności dziecka.

85

Ulegamy złudzeniu, że dziecko długo zadowolnić się może anielskim światopoglądem, gdzie wszystko jest proste i dobrotliwie rozumne, że zdołamy ukryć przed niem niewiedzę, słabość, sprzeczności, nasze porażki i upadki — i brak formuły szczęścia. Naiwny jest przepis samouczków pedagogicznych, by wychowywać dzieci konsekwentnie, by ojciec nie krytykował czynów matki, by dorośli nie rozmawiali przy dzieciach, by służąca nie kłamała, że „państwa niema w domu”, gdy dzwoni niepożądany gość.

A dlaczego nie wolno męczyć zwierząt, a muchy setkami giną w mękach na lepkiem papierze? Dlaczego mama kupuje ładną sukienkę, a brzydko jest mówić, że sukienka ładna? Czy kot musi być fałszywy? Piorun; niania się przeżegnała i mówi: Bóg, a pani mówi, że elektryczność? Za co dorosłych trzeba szanować, czy i złodzieja też? Wujcio powiedział: „aż mnie bebechy zabołały”, a brzydko tak mówić. Dlaczego „psia krew”, to przekleństwo? Kucharka wierzy w sny, a mama nie. Dlaczego się mówi: zdrów, jak ryba, kiedy ryby chorują? Czy pies w studni używa? Dlaczego brzydko jest się pytać, ile kosztuje prezent?

Jak ukryć, jak wyjaśnić, aby nie pogłębić niezrozumienia?

O, te nasze odpowiedzi...

Przypadek zdarzył, że dwa razy byłem świadkiem, jak tłumaczono dziecku przed wystawą księgarni, co to jest globus.

— Co to za piłeczka? — pyta się dziecko.

— Taka sobie piłeczka — odpowiada niania.

Innym razem:

— Mama, co to za kula?

— To nie kula a ziemia. Tam są domy, koniki, mamusia.

— Mamusiaaaa? — dziecko spojrzało na matkę ze współczuciem i obawą, nie ponawiało pytania.

86

Widzimy dzieci w burzliwych przejawach radości i smutku, gdy się różnią od nas, nie dostrzegamy pogodnych nastrojów, cichych zadumań, głębokich wzruszeń, bolesnych zdziwień, jątrzących podejrzeń i upokorzących wątpliwości, w których są do nas podobne. „Prawdziwym” jest nie tylko dziecko, skaczące na jednej nodze, ale i roztrząsające tajemnice przedziwnej bajki życia. Należy tylko wyłączyć naprawdę „sztuczne” dzieci, które bezmyślnie powtarzają frazesy, wyuczone lub pochwyczone od dorosłych. Dziecko nie może myśleć „jak dorosły”, ale może dziecięco zastanawiać się nad poważnymi zagadnieniami dorosłych; brak wiedzy i doświadczenia zmusza je, by inaczej myślało.

Opowiadam bajkę: czarodzieje, smoki, wróżki, zaklęte królewny, nagle zjawia się pozornie naiwne pytanie:

— Czy to prawda?

I słyszę, jak ktoś tonem wyższości tłumaczy:

— Przecież pan mówił, że to bajka.

Ani osoby ani akcja, nie są nieprawdopodobne; to mogłoby być, a nie jest dlatego, żeśmy zapowiedzieli: bajki nie są prawdą.

Mowa, która miała rozwikłać grozy i dziwy otaczającego świata, przeciwnie pogłębiła i rozszerzyła niewiedzę. Dawniej małe bieżące życie osobistych potrzeb wymagało pewnej liczby stanowczych odpowiedzi, nowe wielkie życie słowa zatopiło je we wszystkie naraz zagadnienia, wczorajsze i jutrzejsze, dalekie i najdalsze. Niema czasu ani rozważyć, ani nawet rozpatrzyć wszystkiego. Wiedza teoretyczna odrywa się od życia codziennego i wzlatuje ponad sprawdzalność.

Tu, temperamenty czynny i bierny przeobrażają się w typy umysłowe: realny i refleksyjny.

Realny wierzy i nie wierzy, zależnie od woli autorytetu: wygodniej, korzystniej wierzyć; refleksyjny rozpytuje, wnioskuje, przeczy, buntuje i w myślach i czynach. Nieświadomy fałsz pierwszego przeciwstawiamy woli poznania u drugiego, to błąd, który utrudnia diagnozę i nieudolną czyni terapię wychowawczą.

W klinikach psychiatrycznych stenograf zapisuje monologi i rozmowy pacjentów, to samo będzie w przyszłych klinikach pedologicznych. Dziś mamy tylko materiał pytań dziecięcych.

87

Życie-bajka. Bajka o świecie zwierzęcym.

W morzu są ryby, które polkają ludzi. Czy te ryby są większe od okrętu? Czy jak polknie człowieka, to on się udusi; a jeżeli polknie świętego? Co one jedzą, jak się żaden okręt nie rozbije? Czy taką rybę można złapać? Jak mogą żyć w morzu zwyczajne ryby? Dlaczego nie wyłowią tych ryb? Czy ich jest dużo, czy milion? Czy z takiej ryby można zrobić łódkę? Czy to są przedpotopowe ryby?

Pszczoly mają królowę, a dlaczego króla nie mają, czy on umarł? Jeżeli ptaki wiedzą, którędy lecieć do Afryki, to one są mądrzejsze od ludzi, bo się nie uczyły. Dlaczego ona się nazywa stonoga, jeżeli nie ma stu nóg, a ile ma naprawdę? Czy wszystkie lisy są chytre, czy one się nie mogą poprawić, dlaczego są takie? Jeżeli ktoś męczy i bije psa, to on także jest wierny? A dlaczego nie można patrzeć, jak pies wskakuje na psa? Czy wypchane zwierzęta żyły, czy człowieka można wypchać? Czy ślimakowi jest bardzo niewygodnie; czy jak go wyjąć, to umrze; dlaczego on taki mokry, czy on jest ryba; czy on rozumie, jak mówić: „ślimak wystaw rogi”? Dlaczego ryby mają zimną krew? Dlaczego żmiję nie boli, jak ona zmienia skórę? O czym mrówki rozmawiają ze sobą? Dlaczego człowiek umiera a zwierzęta zdychają? Jeżeli pająkowi zepsuć pajęczynę, czy on zdechnie, zkąd weźmie nitkę, żeby zrobić drugą pajęczynę. Jak z jajka może się zrodzić kura, czy trzeba jajko zakopać w ziemię? Jak struś je kamienie i żelazo, to czym on robi ę-ę? Skąd wielbłąd wie, na ile dni ma zrobić zapas wody? Czy papuga ani troszkę nie rozumie, co mówi, czy ona jest mądrzejsza od psa, dlaczego psu nie można podciąć języka, żeby mówił, czy pierwszy Robinson nauczył papugę mówić, czy trudno nauczyć, jak to się robi?

Barwna bajka o roślinach.

Drzewo żyje, oddycha, umiera. Z małego żołędzia wyrasta dąb. Z kwiatka robi się gruszka, czy to można widzieć? Czy koszule rosną na drzewach? Pani mówiła w szkole (przysięgał się na Boga) czy to prawda? Ojciec odpowiedział: „nie pleć głupstw”, mama, że nie na drzewach, tylko len rośnie w polu, a w szkole powiedziała pani, że na arytmetyce o tem nie można mówić, że wytłomaczy kiedyindziej. Więc to nie jest kłamstwo: żeby choć jedno takie drzewko zobaczyć.

Czem wobec tych dziwów jest smok? Niema go, ale mógłby być. Jak Krakus mógł zabić smoka, jeżeli go niema? Jeżeli niema syren, to dlaczego rysują?

88

Bajka — narody.

Murzyn jest czarny, żeby się nie wiedzieć jak mył. Język nie jest czarny, zęby też nie. To nie jest djabeł: niema ani rogów ani ogona. Ich dzieci też są czarne. Oni są okropnie dzicy: jedzą ludzi. Oni nie wierzą w Boga, tylko w żaby. Przedtem wszyscy wierzyli w drzewo, byli głupi; Grecy wierzyli także w głupstwa, ale byli mądrzy, to dlaczego wierzyli? Murzyni chodzą rozebrani po ulicy i wcale się nie wstydzą. Oni kładą w nos muszle i myślą, że to ładnie; dlaczego im nie powiedzą, żeby tego nie robili? Szczęśliwi są: jedzą figi, daktyle i banany, mają małpy, nie uczą się wcale, mały chłopak zaraz idzie na polowanie.

Chińczycy mają warkocze, są bardzo śmieszni. Francuzi są najmądrzejsi, ale jedzą żaby i mówią: bązur. Niby mądrzy, a tak śmiesznie mówią: „bą-pą-fą-bzda”. Znow niemcy, derdidas, kapusta i kwas. Żydzi boją się wszystkiego, wołają: aj-waj, mir i oszukują. Żyd żeby nie wiem co, musi oszukać; bo oni zabili Pana Jezusa. W Ameryce też są Polacy, co oni tam robią, poco oni wyjechali, czy tam jest ładnie? Cygani kradną dzieci, łamią im nogi i każą żebrać, albo oddają do cyrku. Musi być przyjemnie przedstawiać w cyrku,

choć oni wykręcają ręce. Czy jak raz ręce wykręcić, to już zawsze można robić sztuki? Czy są krasnoludki, dlaczego ich niema, a jeżeli niema, to z kąd wiadomo, jak oni wyglądają? A po ulicy szedł mały pan, wszyscy się oglądali, czy lilipuci nigdy nie urosną, czy oni za karę są tacy mali? Czy fenicjanie byli czarodzieje: jak oni z piasku mogli zrobić szkło? czy to trudno? Czy górale chodzą i po takich górach, z których bucha ogień? Czy marynarze, to naród, czy oni mogą żyć w wodzie, czy trudniej być nurkiem czy marynarzem: kto ważniejszy?

Niekiedy pytanie budzi niepokój:

— Czy jak jabym się cały wysmarował atramentem, to murzyni by mnie poznali?

Dziecko z trudem godzi się z wiadomością, która nie może mieć praktycznego zastosowania. Ono chciało by zrobić też, spróbować, a przynajmniej widzieć zblizka.

89

Bajka — człowiek.

Czy są ludzie, którzy mają oczy ze szkła, czy mogą te oczy wyjmować, czy można temi oczami widzieć? POCO są peruki i dlaczego się śmieją, jak kto jest łysy? Czy są ludzie, którzy mówią brzuchem, czy oni pępkiem mówią, poco jest pępek? Czy w uchu są prawdziwe bębenki? Dlaczego łzy są słone i dlaczego morze jest słone. Dlaczego dziewczynka ma długie włosy i tam też ma inaczej? Czy na sercu rosną grzyby, dlaczego na Prima Aprilis są malowanki z grzybami na sercu? Czy musi się umrzeć? Gdzie ja byłem, jak mnie nie było na świecie? Służąca mówi, że można tak spojrzeć, że się będzie chorym, a jak trzy razy splunąć, to się nie zachoruje. Co się robi w nosie, jak się kicha? Czy warjat jest chory, czy pijany jest chory, co gorsze: pijany czy warjat? Dlaczego teraz nie mogę się dowiedzieć, jak się rodzą dzieci? Czy wiatr jest dlatego, że się ktoś powiesił? Lepiej być ślepym czy głuchym? Dlaczego dzieci umierają a starzy żyją? Czy trzeba więcej płakać, jak babcia umrze czy jak braciszek? Dlaczego kanarek nie może iść do nieba. Czy macocha musi bić dzieci? Czy mleko z piersi to jest także od krowy? Czy jak się coś śni, to tak jest naprawdę, czy się tylko zdaje? Od czego włosy są rude? Dlaczego bez męża nie można mieć dziecka? Czy lepiej zjeść trujący grzyb, czy żeby żmija ukąsiła? Czy prawda, że jak stać na deszczu, to się prędzej rośnie? Co to jest echo, dlaczego ono jest w lesie? Dlaczego jak zwinąć rękę w rurkę i patrzeć, to można widzieć cały dom: jak on się może zmieścić? Co to jest cień, dlaczego nie można od niego uciec? Czy prawda, że jak wąsami pocałować dziewczynkę, to urosną wąsy? Czy prawda, że na zębach są robaki, tylko ich nie można widzieć?

90

Bajka — autorytety.

Dziecko ma licznych bogów, półbogów i bohaterów:

Autorytety dzielą się na: widzialne i niewidzialne, żywe i martwe. Ich hierarchia jest niezmiernie zawiła. Mama, ojciec, babcia, dziadzio, ciocie, wuj, służba domowa, policjant, żołnierz, król, doktor, starsi wogóle, ksiądz, nauczyciel, doświadczeńsi koledzy.

Autorytety widzialne martwe: krzyż, zwój Tory, książka do nabożeństwa, obrazy święte, portrety przodków, pomniki wielkich ludzi, fotografie nieznanych osób.

Autorytety niewidzialne: Bóg, zdrowie, dusza, sumienie, zmarli, czarodzieje, djabły, anioły, duchy, wilki, odlegli krewni, o których się często wspomina.

Autorytety żądają posłuszeństwa, to dziecko rozumie, boleśnie rozumie. Żądają miłości, z tem wiele trudniej sobie radzić.

— Kocham więcej tatusia i mamusię.

Małe kokietują niezrozumiałą odpowiedzią na niezrozumiane pytanie. Starsze dziecko nie znosi tego pytania: upokarza je ono i żenuje. Ona raz bardzo kocha, raz mniej, raz tak sobie, tyle ile koniecznie potrzeba, niekiedy nienawidzi, tak, to okropne, ale cóż zrobić, kiedy nienawidzi.

Szacunek, to uczucie tak złożone, że dziecko zrzeka się własnej decyzji, zdaje się na doświadczenie starszych.

Mama każe służącej, służąca się mamy boi. Mama gniewała się na bonę. Mama musi się zapytać, czy doktor pozwoli. Policjant może mamę ukarać. Kolega się mamy nie potrzebuje słuchać. Na tatusia gniewał się zwierzchnik w biurze, dlatego tatuś jest smutny.

Żołnierz boi się oficera, oficer generała, a generał króla. Tu wszystko jest zrozumiałe, może dlatego chłopców zajmują tak rangi wojskowe; może dlatego dzieci tak dokładnie dozuują szacunek dla klas szkolnych, że tu też łatwo zrozumieć.

Bardzo godni szacunku są pośrednicy między widzialnymi i niewidzialnymi autorytetami. Ksiądz rozmawiał z Bogiem, doktor ma jakieś konszachty ze zdrowiem, żołnierz ma stosunki z królem, a służąca wiele wie o czarach, strachach i duchach.

Bywają jednak chwile, gdy najgodniejszym szacunku jest pastuch, który kozikiem wycina figurkę: tego ani mama, ani generał, ani doktor nie potrafi.

91

Dlaczego od niedojrzałych owoców brzuch boli? Czy zdrowie jest w brzuchu czy w głowie? Czy zdrowie to jest dusza? Dlaczego pies może żyć bez duszy, a człowiek zaraz umiera? Czy doktor choruje, czy umiera, dlaczego? Dlaczego wszyscy wielcy ludzie umarli? Czy prawda, że są panowie, co piszą książki i żyją? Królowie wszyscy umierają: oni się nie chowają. Czy królowa ma skrzydła? Czy Mickiewicz był święty? Czy ksiądz widział Boga? Czy orzeł może dofrunąć do nieba? Czy Bóg się modli? Co robią anioły, czy śpią, czy jedzą, czy grają w piłkę, kto im szyje sukienki? Czy djabłów bardzo boli? Czy diabły zatrują trujące grzyby? Jeżeli Bóg gniewa się na zbójców, to dlaczego każe się za nich modlić? Czy jak Mojżesz zobaczył Boga, to się bardzo zląkł? Dlaczego tatuś się nie modli, czy Bóg mu pozwolił? Czy grzmot, to cud? Czy powietrze, to Bóg? Dlaczego nie można widzieć powietrza? Czy powietrze zaraz wchodzi do pustej butelki, czy potroszku, skąd ono wie, że tam już niema wody? Dlaczego biedni przeklinają, żeby nie przeklinali, toby im było lepiej. Jeżeli to nie jest cud, to dlaczego nikt nie może zrobić deszczu? Z czego są chmury zrobione? Czy ta ciocia, która daleko mieszka, czy ona mieszka w trumnie?

Jak dziecinna jest nadzieja rodziców (tylko nie nazywajcie ich postępowymi), że powiedziawszy dzieciom: niema Boga, ułatwią im rozumienie otaczającego świata: Jeżeli niema Boga, to co jest, to kto to wszystko zrobił, to co będzie, jak umrę, z kądem się wziął pierwszy człowiek? Czy to prawda, że jak się nie modlić, to się żyje, jak bydlę? Tatuś mówi, że niema aniołów, a ja go widziałam własnymi oczami. Jak nie jest grzech, to dlaczego nie wolno zabijać? Przecież i kurę boli?

Też same wątpliwości i niepokojące pytania.

92

Ponura bajka, tajemnica, nędza.

Dlaczego głodny, dlaczego biedny, dlaczego mu zimno, dlaczego nie kupi, dlaczego niema pieniędzy, dlaczego mu „tak” nie dadzą?

Powiadasz:

Biedne dzieci są brudne, mówią brzydkie wyrazy, na głowie mają robaki. Biedne dzieci chorują, i od nich się można zarazić. One się biją, kamienie rzucają, oczy wybijają. Na podwórko nie wolno chodzić, do kuchni nie wolno: tam niema nic ciekawego.

A życie głosi:

— Wcale nie chorują, cały dzień biegają sobie, wodę ze studni piją, kupują smaczne farbowane cukierki. Chłopak wywija miotłą, zamiata podwórko, śnieg zgarnia, to bardzo przyjemne. Żadnych robaków nie mają, to nieprawda, kamieni nie rzucają, mają oczy, nie biją się a mocują. Brzydkie wyrazy są śmieszne, a w kuchni sto razy przyjemniej niż w pokoju.

Mówisz dziecku:

— Biednych należy kochać i szanować, oni są dobrzy, ciężko pracują. Trzeba być wdzięcznym kucharce, bo obiad gotuje, stróżowi, bo porządku pilnuje. Baw się z dziećmi stróża.

A życie głosi:

— Kucharka zabiła karę, jutro będziemy jedli, mama też będzie jadła, bo kura ugotowana, to ją nie boli; a kucharka zabiła żywą, mama nawet patrzeć nie może. Stróż utopił

szczenięta, takie były śliczne. Kucharka ma takie twarde ręce, ona babrze się w brudnej wodzie. Chłop śmierdzi, żyd śmierdzi. Nie mówi się: pani, tylko: przekupka; nie: pan, tylko: stróż. Biedne dzieci są brudne; jak im coś pokazać, to zaraz mówią: „daj mi to”, a jak nie dać, to kapelusz zrzucają, śmieją się, a jeden plunął, w twarz plunął...

Jeszcze dziecko nie słyszało o złych czarownikach, a mimo to z obawą się zbliża, by dać grosz dziadkowi.

Dziecko wie, że i tu mu wszystkiego nie mówią, że i w tem kryje się coś brzydkiego, czego mu nie chcą czy nie mogą wyjaśnić.

93

Dziwactwa życia towarzyskiego i dobrego ułożenia.

Nieładnie jest kłaść palec w usta, dłużyć w nosie, pociągać nosem. Nieładnie prosić, mówić: „ja nie chcę”, usuwać się, jak kto całuje, mówić: „nieprawda”. Nieładnie ziewać głośno, mówić: „mnie się nudzi”. Nieładnie się podpierać, pierwszemu podawać rękę dorosłym. Brzydko jest bujać nogami, trzymać ręce w kieszeni, oglądać się na ulicy. Nieładnie robić głośno uwagi i palcem pokazywać.

Dlaczego?

Te zakazy i nakazy płyną z rozmaitych źródeł, dzieci nie mogą pochwycić ich istoty i związku.

Nieładnie jest biegać w koszuli i nieładnie pluć na podłogę.

Dlaczego nieładnie jest siedząc odpowiadać na pytania dorosłych? Czy ojcu na ulicy też należy się kłaniać? Co robić, jeśli ktoś mówi to, co nie jest prawdą; naprz. wuj mówi: „ty jesteś dziewczyna”, a on chłopak; albo: „ty jesteś moja narzeczona”, albo: „ja ciebie od mamy kupiłem”, przecież to kłamstwo.

— Dlaczego dla dziewczynek trzeba być grzecznym? — zapytał się mnie uczeń podczas dyktanda.

— To ma znaczenie historyczne — odpowiedziałem.

— Dlaczego napisałeś „wrucił” przez u? — zapytałem się w parę chwil później.

— To ma znaczenie historyczne — odpowiedział ze złośliwym uśmiechem.

Na to samo pytanie jedna z matek odpowiedziała:

— Widzisz: dziewczynka będzie rodzić dzieci, będzie chorowała i t. d.

Niezadługo znów wynikła sprzeczka między bratem i siostrą.

— Moja mamusiu, co mnie to może obchodzić, jak ona rodzić będzie dzieci. Dla mnie ważne jest, żeby ona nie była beksa.

Najmniej szczęśliwe wydaje mi się tłumaczenie, spotykane najczęściej:

— Będą się z ciebie śmieli.

Jest wygodne i skuteczne, dziecko boi się śmieszności.

Ale z niego będą się też śmieli, że słucha mamy, że się jej zwierza, że nie zechce w przyszłości grać w karty, pić wódki, iść do domu publicznego.

I rodzice w obawie śmieszności popełniają niedorzeczne błędy. Najszkodliwszy błąd ukrywania wad dziecka i niedopatrzeń w jego wychowaniu, dziecko do czasu udaje wobec gości dobrze wychowane za sowską zapłatę; a potem się mści.

94

Mowa ojczysta, to nie wybrane i dobrane dla dziecka przepisy i morały, a powietrze, którem dusza jego oddycha narówni ze zbiorową duszą całego narodu. Prawda i wątpliwość, wiara i obyczaj, miłość, niechęć, swawola i powaga, cała dostojność i poziomość, bogactwo i ubóstwo, wszystko co stworzył w natchnieniu wieszcz i wyżygał w pijanem bredzeniu zbir, stulecia pracy zbożnej i mroczne lata niewoli.

Kto nad tem myślał, kto o tem pisał, kto badał, jak tępić bakterje i przesycać ten żywioł ozonem? Możeby się okazało, że nie zdrowe ludowe: „srać”, a salonowe: „warta grzechu” zawiera zarodki rozkładu?

— Niech będzie pochwalony. Bóg go skarał. Licho skusiło. Jak w raj. W ósmem niebie. Piekło w domu. Krzyżak na drogę. Jak u Boga za piecem. Niech Pan Bóg opatrzy. Klepać pacierze. Świętoszek. Bohomaz. Bez grosza przy duszy. Dusza na ramieniu. Djabłuby duszę sprzedał. On ma grzeszki. W starym piecu djabeł pali. Zrobię sobie święto.

— Na zdrowie. Zdrowie twoje. Piątek, dzień feralny. Czkawka, ktoś wspomina. Zakończona zupełnie przesoliła. Nóż upadł, głodny się śpieszy. Księdzu skwarki zjadł. Jedną nogą w grobie.

— Chińskie ceremonie. Cygańskie wesele. Żydowskie słowo. Łaska pańska. Chamski łeb. Sieroca dola.

— Stary nudziarz, stary idjota, szczerbata baba. Smarkacz, gęś, szczeniak, żółtodziób, mleko ma pod nosem.

— Ślepy? Nie, niewidomy. Stary? Nie, wiekowy. Kaleka? Nie, ułomny.

— Pogoda pod psem. Na psy zeszedł. Psiamać, psiajucha. Wścieka się ze złości. Jak kot z pęcherzem. Wilczy apetyt. Zbił na kwaśne jabłko.

— Niema oleju w głowie, ma zielono w głowie. Mydli oczy. Brak mu klepki. Pęka ze śmiechu. Wykręca się sianem. Zna jak swoją kieszeń. To będzie kiedyś sztuczka. Życie mi zatruwa.

Co to jest? Skąd się wzięło? Dla czego to wszystko?

— Stół, to rzeczownik, stół, to podmiot.

— A dlaczego: głupi, jak stołowe nogi? Czy mądry był ten pan, który gramatykę wymyślił?

95

Dzieci nie lubią tych niezrozumiałych wyrażen, niekiedy próbują olśnić niemi otoczenie. One nie bez wyboru przyswajają mowę dorosłych, niektórym częstym naszym zwrotom opierają się wyraźnie.

— Daj, widzisz. Pożycz, słuchaj. Pokaż, widzisz.

„Widzisz” — „słuchaj” — odpowiadają naszemu: „proszę”. Prosić, to żebrać (dziad prosi). Dziecko nie lubi upokarzającego wyrazu.

— Myślisz, że się będę prosił? Nie pros go. Prosić go tam będę. Poczekaj, będziesz ty mnie prosił.

Znam jeden tylko, wyjątkowo uroczysty zwrot:

— Widzisz, jaki ty jesteś: ja ciebie tak proszę.

Nawet zwracając się do dorosłych, dziecko woli formę: „niech mama, niech pan” i tylko ulegając żądaniu, „prosi”.

Wyrazem: „widzisz” dziecko zastępuje niemniej przykry: „przepraszam”.

— Widzisz, ja nienaumyślnie. Widzisz, ja nie chciałem. Widzisz, ja nie wiedziałem.

A bogactwo zwrotów perswazji i ostrzeżenia, by uniknąć scen gwałtownych.

— Przestań, zostaw, nie zaczynaj, odejdz sobie, idź sobie. Zostaw że. Odejdz że. Ja ci mówię: przestań. Proszę cię: przestań (tu prośba jest bardzo stanowczym rozkazem). Nie odejdiesz ty? Słuchaj: nie przestaniesz nareszcie?

Groźba:

— Chcesz dostać? Chcesz oberwać? Zobaczysz, że pożałujesz. Ej, bo będziesz płakał.

Lekceważące zdwojenie wyrazu:

— Dobrze, dobrze... Wiem, wiem... Poczekaj, poczekaj.

Zmuszamy dziecko, by się bało.

— Dużo się boję. Myślisz, że się boję. Bać go się tam będę.

Każda własność dziecka jest sporna: nie wolno mu oddać bez pytania, nie wolno mu niszczyć, ma tylko prawo używania (tem bardziej ceni niepodzielne posiadanie).

— Twoja ławka, twój stół?

— A mój (albo: a może twój?).

— Ja tu byłem pierwszy.

„Pierwszy” zajął miejsce, zaczął tu się bawić, zaczął kopać. Dorośli, dbając o własny spokój, bardzo powierzchownie sądzą spory dzieci.

— On zaczął ze mną. On pierwszy zaczął. Ja stoję sobie, a on...

Ciekawa jest forma przecząca:

— Jak go nie trzasnę. Jak nie zacznę uciekać. Jak nie zaczniemy się śmiać.

Treść opowiadania — swawola; może „nie” jest echem zakazów.

— Obiecałeś, pamiętaj. Dałeś słowo. Złamałeś słowo.

Kto obietnicy nie dotrzymuje, jest świnią. Dorośli winni o tem pamiętać.

96

Dziecko, nie do cna poróżnione z biednymi, lubi kuchnię, a lubi nie dlatego, że tam są suszone śliwki i rodzynki, ale że w kuchni dzieje się coś, gdy w pokojach nie dzieje się nic; lubi bo bajka tam ciekawsza, bo obok bajki usłyszy i opowieść z prawdziwego życia, bo samo coś opowie, i słuchają je z zajęciem, bo w kuchni jest człowiekiem, a nie pincerkiem na atlasowej poduszce.

— Więc bajka? A no dobrze, Więc co to ja miałam powiedzieć? Acha, więc to tak było. Zaraz, niech sobie przypomnę.

Zanim się bajka zacznie, dziecko ma czas obrać wygodną pozycję, poprawić ubranie, chrząknąć, przygotować się do dłuższego słuchania.

— Więc idzie, idzie przez las. A tu ciemno, nic nie widać: ani drzewa ani zwierza ani kamienia. Ciemno i ciemno. Więc ona tak się boi, tak się boi. Ano, przeżegnała się raz, trochę strach odszedł, przeżegnała się drugi raz i idzie dalej.

Próbowałem tak opowiadać, niełatwo. My nie mamy cierpliwości, my się śpieszymy, my nie szanujemy ani bajki ani słuchacza. Dziecko nie nadąża za tempem naszego opowiadania.

Może, gdybyśmy umieli tak mówić o płótnie, które się z lnu robi, dziecko nie myślałoby, że koszule rosną na drzewach, a ziemię zasiewa się popiołem...

Zdarzenie prawdziwe:

— Rano wstaję, a tu mi się wszystko w oczach dwoi, patrzę na jedno, a widzę dwa. Patrzę na komin, dwa kominy, patrzę na stół; dwa stoły. Wiem, że jeden, a widzę dwa. Przecieram oczy, nie pomaga. A w głowie stuka, stuka.

Dziecko czeka na rozwiązanie zagadki, a gdy wreszcie przychodzi obca nazwa: tyfus, ono przygotowane jest na przyjęcie obcego wyrazu.

— Doktor powiada: tyfus...

Pauza. Narrator odpoczywa, odpoczywa i słuchacz.

— Więc jak zachorowałem na ten tyfus...

I dalej płynie opowiadanie.

Prosta opowieść o tem, że we wsi był gospodarz, który się żadnego psa nie bał, że się założył i psa złego jak wilk wziął na ręce i przyniósł, jak cielaka, zamienia się w epos. A jak na weselu jeden się przebrał za babę i nikt nie poznał. A jak gospodarz szukał skradzionego konia.

Trochę czujności, a możeby na estradzie ukazał się bazarz w sukmanie, nauczyłby nas, jak przemawiać do dzieci, aby być słuchanym. Czuwać trzeba, tak, my wolimy zabraniać.

97

Czy to prawda?

Należy rozumieć istotę tego pytania, którego my tylko nie lubimy, uważając za zbędne.

— Jeżeli mama, jeżeli nauczycielka mówiła, więc znaczy, że prawda.

Ba, dziecko przekonało się, że każdy z ludzi część tylko wiedzy posiada, że naprz. stangret więcej wie o koniach, niż nawet ojciec. Dalej, nie każdy wiedząc, mówi. Niekiedy nie chce im się, niekiedy naginają prawdę do poziomu dzieci, często ukrywają lub świadomie fałszują.

Prócz wiedzy, istnieje jeszcze wiara; jeden wierzy, drugi nie: babcia wierzy w sny, mama nie wierzy. Kto ma słuszność?

Wreszcie kłamstwo, jako żart i kłamstwo, żeby się pochwalić.

— Czy prawda, że ziemia, to kula?

Wszyscy mówią, że prawda. Jeśli ktoś jeden powie, że nieprawda, pozostaje cień wątpliwości.

— Pani była we Włoszech; czy to prawda; że Włochy są jak but?

Dziecko chce wiedzieć, czyś sam widział, czy wiesz od innych, skąd wiesz; chce, żeby odpowiedzi były krótkie i stanowcze, zrozumiałe, jednobrzmiące, poważne, uczciwe.

— Jak termometr mierzy goryczkę?

Jeden mówi; rtęć, drugi mówi: żywe srebro (dlaczego żywe?), trzeci, że ciała się rozszerzają (czy termometr, to ciało?), a czwarty, że się dowie później.

Bajka o bocianie obraża i gniewa dzieci, jak każda żartobliwa odpowiedź na poważne pytanie, czy niem będzie: skąd się biorą dzieci? czy, dlaczego pies szczeka na kota?

— Nie chcecie, to nie ułatwiają mi pracy, ale dlaczego utrudniacie, dlaczego drwicie, że chcę wiedzieć?

Dziecko, mszcząc się na towarzyszu mawia:

— Ja coś wiem, ale kiedyś taki, to ci powiem.

Tak, za karę nie powie, ale za co dorośli je karzą.

Notuję jeszcze parę pytań dziecięcych:

— Czy nikt na świecie nie wie? Czy nie można wiedzieć?

— Kto to powiedział? Czy wszyscy, czy tylko jeden? Czy tak jest zawsze? Czy tak musi być?

98

Czy można?

Nie pozwalają, bo grzech, bo niezdrowo, bo nieładnie, bo jest za małe, bo nie pozwalają, i koniec.

I tu są sprawy wątpliwe i zawile. Czasem coś jest niezdrowo, gdy mama zła, czasem i małemu pozwolą, gdy ojciec w dobrym humorze lub przy gościach.

— Dlaczego zabraniają, coby im to szkodziło?

Szczęście, że zalecana przez teorię konsekwencja w praktyce jest niewykonalna. Bo jakże, chcecie dziecko wprowadzić w życie w przeświadczeniu, że wszystko jest słuszne, sprawiedliwe, rozumnie umotywowane i niezmienne? W teorii wychowania zapominamy, że winniśmy uczyć dziecko nie tylko cenić prawdę, ale i rozpoznawać kłamstwo, nie tylko kochać ale i nienawidzić, nie tylko szanować ale i pogardzać, nie tylko godzić się ale i oburzać, nie tylko ulegać, ale i buntować się.

Często spotykamy ludzi dojrzałych, którzy się oburzają, gdy wystarcza zlekceważyć, pogardzają, gdzie należy współczuć. Bo w dziedzinie negatywnych uczuć jesteśmy samoukami, bo ucząc abecadła życia, uczą nas tylko paru liter, a pozostałe ukrywają. Czy dziwi, że błędnie czytamy życie?

Dziecko czuje niewolę, cierpi z powodu więzów, tęskni do wolności, ale jej nie znajduje, bo pęta zmieniając formę, zachowują treść zakazu i przymusu. Nie możemy zmienić naszego życia dorosłych, bośmy wychowani w niewoli, nie możemy dać dziecku swobody, dopóki samiśmy w kajdanach.

Gdybym odrzucił z wychowania to wszystko, co obarcza moje dziecko przedwcześnie, spotkałoby się ono z surową oceną zarówno rówieśników, jak i dorosłych. Czy mus torowania nowych dróg, trud drogi przeciw prądowi, nie byłby cięższym jeszcze jarzmem? Jak boleśnie pokutuje w internatach szkół wolne ptactwo dworków wiejskich za tych parę lat wzgłędnej swobody w polu, stajni i izbie czeladnej...

99

Dlaczego dziewczynka w wieku neutralnym już tak bardzo różni się od chłopca?

Bo prócz upośledzenia dziecięctwa ulega dodatkowym ograniczeniom jako kobieta. Chłopiec pozbawiony praw, bo dziecko, oburącz pochwycił przywilej płci, i nie puszcza, nie chce się dzielić z rówieśnią.

— Mnie wolno, ja mogę, ja chłopak.

Dziewczyna jest intruzem w ich gronie. Na dziesięciu zawsze jeden się zapyta:

— Poco ona z nami?

Niech tylko wyniknie spór, który chłopcy między sobą załatwią, nie urażając ambicji, nie grożąc banicją, dla dziewczynki mają zawsze szorstkie zdanie:

— Nie podoba ci się, to idź do swoich.

Przestając chętniej z chłopcami, dziewczynka staje się osobnikiem podejrzanym w własnym gronie:

— Nie chcesz, to idź sobie do swoich chłopaków.

Upośledzenie odpowiada na pogardę pogardą: to odruch samoobrony atakowanej dumy.

Wyjątkowa się nie zniechęci, drwi z opinii, wyższa ponad tłum.

W czym wyraziła się wrogość ogółu dzieci do dziewcząt, które trwają w zabawach z chłopcami? Może się nie myli twierdząc, że ta wrogość stworzyła bezwzględne, okrutne prawo:

— Dziewczynka jest shańbiona, jeśli chłopiec zobaczy jej majtki.

Tego prawa w formie, jaką przyjęło wśród dzieci, nie wymyślili dorośli.

Dziewczynka nie może swobodnie biegać, bo jeśli się przewróci, zanim doprowadzi do porządku sukienkę usłyszy złośliwy okrzyk:

— Oo, majtki!

— Nieprawda, albo wyzywająco: no, więc co takiego? — mówi spłoniona, zmieszana, poniżona.

Niech tylko spróbuje się pobić, natychmiast okrzyk powstrzyma ją, obezwładni.

Dlatego dziewczynki są mniej zręczne, więc mniej godne szacunku, nie biją się, zato się obrażają, kłócą, skarżą i płaczą. A tu jeszcze starsi żądają dla nich respektu. Z jaką radością dzieci mówią o dorosłym:

— Ja się jego nie potrzebuję słuchać.

A oto dziewczynie ma ustępować, dlaczego?

Dopóki nie zwolnimy dziewcząt z: nie wypada, które ma źródło w ich stroju, próżne wysiłki, by stały się towarzyszami chłopca. Myśmy inaczej rozwiązali zadanie: przystroiliśmy chłopców w długie włosy i omotali równą liczbą przepisów przyzwoitości, i bawią się razem; zamiast męźnych córek podwoiliśmy liczbę zniewieściałych synów.

IOO

Dziecko, które zrazu radośnie zagląda po powierzchni życia, nieświadome jego ponurej głębi, zdradzieckich nurtów, utajonych poczwarów, przyczajonych wrogich mocy, ufne, oczarowane, uśmiechnięte do barwnych niespodzianek, budzi się nagle z błękitnego półsnu i nieruchomym wzrokiem, powstrzymanym oddechem, drgającymi wargami, szepce trwożnie:

— Co to, dlaczego, poco?

Pijany się zatacza, niewidomy laską drogę maca, epileptyk pada na chodnik, złodzieja prowadzą, koń zdycha, kogutka zarzynają.

— Dlaczego? Poco to wszystko?

Ojciec mówi gniewnym głosem, a mama płacze, płacze. Wujcio pocałował służącą, ona mu pogroziła, śmieją się, patrzą sobie w oczy. Mówią wzburzeni o kimś, że się pod ciemną gwiazdą urodził, więc mu trzeba kości połamać.

— Co to, dlaczego?

Nie śmie pytać się. Czuje się małeńkie, samotne i bezradne w obliczu zmagania się tajemniczych potęg.

Ono, które dawniej panowało, którego życzenie było rozkazem, uzbrojone w oręż łzy i uśmiechu, bogate posiadaniem mamy, taty, niani, dostrzega, że to oni mają je dla rozrywki, że ono dla nich, nie oni dla niego. Czujne jak mądry pies, jak królewicz-niewolnik, patrzy wokoło i patrzy w siebie.

Oni coś wiedzą, oni coś ukrywają. Nie są tem, czem się mianują, i żądają, by ono nie było tem, czem jest istotnie. Chwałą prawdę, sami kłamią, każą kłamać. Oni zupełnie inaczej mówią do dzieci, inaczej między sobą. Oni śmieją się z dzieci. Mają jakieś swoje życie i gniewają się, gdy je dziecko pragnie przeniknąć; chcą by było łatwowieczne, cieszą się, gdy naiwnym pytaniem zdradzi się, że nie rozumie.

Śmierć, zwierzę, pieniądze, prawda, Bóg, kobieta, rozum, we wszystkim coś jakby fałsz, jakby brzydka zagadka, zła tajemnica. Dlaczego nie chcą powiedzieć, jak jest naprawdę?

I dziecko z żalem wspomina swe lata dziecięce.

IOI

Drugi okres niezrównoważenia, o którym nic więcej nie mogę powiedzieć stanowczo, jak tylko to, że istnieje, nazwałem szkolnym. Jest to nazwa wykrętu, nazwa niewiedzy, nazwa odczepna, jedna z tych wielu etykiet, które nauka puszcza w obieg, stwarzając pozór, ludząc profanów, że wie, gdy się zaledwie domyślać zaczyna.

Niezrównoważenie szkolne nie jest przełomem na granicy niemowlęctwa i pierwszego dziecięctwa i nie jest okresem dojrzewania.

Fizycznie: zmiana na niekorzyść w wyglądzie, śnie, łaknieniu, upośledzona odporność przeciw chorobom, ujawnianie się ukrytych skaz dziedzicznych, złe samopoczucie.

Psychicznie: osamotnienie, nieład duchowy, wrogość w stosunku do otoczenia, łatwe uleganie zaradzie moralnej, bunt wrodzonych skłonności przeciw narzuconym wychowawczym wpływom.

— Co się z niem stało? Ja go nie poznaję, oto charakterystyka, podawana przez matkę.

Niekiedy:

— Myślałam, że to kaprysy, gniewałam się, karciałam, a ono widocznie już dawno było chore.

Dla matki niespodzianką jest ścisły związek dostrzeżonych zmian fizycznych i psychicznych.

— Przypisywałam to złemu wpływowi kolegów.

Tak, ale dlaczego wśród licznych wybrał złych, dlaczego tak łatwo znaleźli posłuch, zdobyli wpływ?

Dziecko, odrywając się boleśnie od najbliższych, słabo jeszcze zrosnięte ze społeczeństwem dziecięcym, czuje tem większy żal, że się na nie gniewają, że mu pomódz nie chcą, że niema do kogo zwrócić się o radę, niema do kogo przytulić.

Gdy się spotyka te nagłe zmiany w internacie ze znaczną liczbą dzieci, gdy z pomiędzy stu dziś jedno, jutro drugie „psuje się”, staje się nagłe leniwe, niezgrabne, sennie, kapryśne, drażliwe, niekarne, kłamliwe, by po roku znów się zrównoważyć, „poprawić”, trudno wątpić, że zmiany te zależne są od procesu wzrostu, którego praw niejakię poznanie dają obiektywne, bezstronne narzędzia: waga i miara.

Przeczuwam chwilę, gdy waga, miara, może inne jeszcze przez geniusz ludzki zdobyte narzędzia, będą sejsmografem ukrytych sił ustroju, pozwolą nie tylko rozpoznawać, ale przewidywać.

IO2

Nieprawdą jest, że dziecko pragnie szybki z okna i gwiazdki z nieba, że je przekupić można pobbłażaniem i uległością, że jest wrodzonym anarchistą. Nie, dziecko ma poczucie obowiązku, nie narzuconego przemocą, lubi plan i ład, nie wyrzeka się prawideł i obowiązków. Żąda tylko, by brzemie nie było zbyt ciężkie, by mu grzbietu nie raniło, by znalazło wyrozumienie, gdy się zawaha, poślizgnie, gdy znużone przystanie, by tchu zaczerpnąć.

— Spróbuj, przekonamy się, czy udźwigniesz, ile kroków przejdiesz z ciężarem, czy codziennie tyle podolasz, to naczelną zasadą ortofrenji.

Dziecko chce, by je traktowano poważnie, żąda zaufania, wskazówki i rady. My odnosimy się do niego żartobliwie, podejrzewamy bezustannie, odpychamy nierozumieniem, odmawiamy pomocy.

Lekarzowi, do którego przysłała po poradę, nie chce matka przytoczyć faktu, woli ogólne:

— Nerwowe, kapryśne, nieposłuszne.

— Fakty, szanowna pani, objawy, nie djagnoza.

— Ugryzła przyjaciółkę. Aż wstyd powiedzieć. Lubi ją, zawsze się z nią bawi.

Pięć minut rozmowy z dzieckiem: nienawidzi „przyjaciółki”, która się śmieje z niej, z jej sukienek, a mamę nazwała śmieciarką.

Inny przykład: dziecko boi się spać samo w pokoju, rozpacza na myśl o zbliżającej się nocy.

— Dlaczego mi nie mówiłeś?

— Właśnie, że mówiłem.

Matka zlekceważyła: wstyd, żeby taki duży chłopiec się bał.

Trzeci przykład: plunął na bonę, wczepił jej się we włosy, z trudem go oderwano.

Bona brała go w nocy do łóżka i kazała się przyciskać; zagroziła, że włoży go do kufra, wywiezie i wrzuci do rzeki.

Przerażliwie samotne może być dziecko w swem cierpieniu.

IO3

Okres realny, pogody, zacisza. Nawet dzieci „nerwowe” stają się znów spokojne. Powraca żywość, jedność dziecięca, harmonia funkcji życiowych. Jest i szacunek dla starszych, i posłuszeństwo i dobre ułożenie; niema niepokojących pytań, kaprysów i wybryków. Rodzice znów są z niego zadowoleni. Dziecko asymiluje się zewnętrznie z światopoglądem rodziny i środowiska, korzystając z względnej swobody, nie żąda więcej nad to, co mu dają, strzeże się wyjawiać poglądy, wiedząc z góry, które wrogo będą przyjęte.

Szkoła z jej mocną tradycją, rojnem i barwnem życiem, żądaniem, troską, porażką i tryumfem; książka-towarzystwo, stanowią treść życia. Fakty nie dają czasu na jałowe dociekanie.

Dziecko już teraz wie. Wie, że nie wszystko jest w porządku na świecie, że jest dobro i zło, wiedza i niewiedza, sprawiedliwość i niesprawiedliwość, swoboda i zależność. Nie rozumie, to nie, co je to wreszcie obchodzi. Ono się godzi, płynie z prądem.

— Bóg? Trzeba się modlić, w razach wątpliwych dorzucić do modlitwy jałmużnę, tak jak robią wszyscy. Grzech? Przyjdzie skrucha i Bóg przebaczy.

Śmierć? A no trzeba płakać, nosi się żalobę, wspomina z westchnieniem, tak wszyscy robią.

Ządają, by było przykładne, wesołe, naiwne, wdzięczne rodzicom, ale owszem, do usług.

— Proszę, dziękuję, przepraszam, mamusia się kłania, życzę z całego serca (nie z jednej połowy), takie to proste, łatwe, a zyskuje pochwałę, okupuje spokój.

Wie kiedy do kogo jak i z jaką udać się prośbą, jak się zręcznie wywinąć z niemiłej sytuacji, jak komu czem dogodzić, i tylko oblicza „czy warto”.

Dobre duchowe samopoczucie, fizyczna pomyślność, czynią je wyrozumiałem, skłonem do ustępstw: rodzice w gruncie rzeczy są dobrzy, świat naogół biorąc miły, życie pominąwszy drobiazgi, piękne.

Ten etap, który może być wyzyskany przez rodziców, by siebie i dziecko przygotować do oczekujących nowych zadań, jest okresem naiwnego spokoju i odpoczynku bez troski.

— Pomogły arsenik czy żelazo, dobra nauczycielka, ślizgawka, pobyt na letniem mieszkaniu, spowiedź, kazanie matki.

Rodzice i dziecko łudzą się, że się już porozumieli, że pokonali trudności, gdy równie jak wzrost ważna a najmniej przez współczesnego człowieka opanowana funkcja rozmnażania niezadługo pocznie tragicznie wikłać wciąż jeszcze trwającą funkcję osobniczego rozwoju, zamąci duch i zaatakujecie ciało.

IO4

Znów tylko usiłowanie obejścia prawdy, drobne ułatwienie w jej zrozumieniu, i niebezpieczeństwo omyłki, że się ją posiadało, wówczas gdy mamy tylko cień, parę kresek ogólnego konturu.

Ani okres zakłócenia, ani zrównoważenia nie jest wytłomaczeniem zjawiska, tylko jego popularnym nagłówkiem. Opanowane tajemnice kreślimy, jako obiektywne formuły matematyczne, inne, wobec których stoimy bezradnie, płoszą nas i gniewają. Pożar, powódź, grad są katastrofą, ale tylko w ocenie szkód, które przynoszą; więc organizujemy straż ogniową, budujemy tamy, asekurujemy, bronimy. Do wiosen i jesieni przystosowaliśmy się. Z człowiekiem walczymy bezskutecznie, bo nie znając go, nie umiemy szarmonizować z nim życia.

Sto dni prowadzi do wiosny. Jeszcze niema ani jednego źdźbła trawy, ani jednego paka, ale w ziemi i korzeniach jest już rozkaz wiosny, która w ukryciu trwa, drga, tai się, czai, wzbiera — pod śniegiem, w nagich konarach, w mroźnym wicherze, by nagle

wybuchnąć rozkwitem. Tylko powierzchowne badanie widzi nieład w zmiennej pogodzie marcowego dnia, tam w głębi jest, co logicznie z godziny na godzinę dojrzewa, gromadzi się i szereguje, my tylko nie wyodrębniamy żelaznego prawa astronomicznego roku od jego przypadkowych, przelotnych skrzyżowań z prawem mniej znanem lub nieznanem wcale.

Niema słupów granicznych między okresami życia, my je stawiamy tak, jak pomalowaliśmy mapę świata na różne kolory, ustawiliśmy sztuczne granice państw, zmieniając je co lat kilka.

— Ono z tego wyrośnie, to wiek przejściowy, to się zmieni, i wychowawca z pobłażliwym uśmiechem czeka, aż szczęśliwy przypadek pomoże.

Każdy badacz kocha swą pracę za mękę poszukiwań i rozkosz walki, ale sumienny nienawidzi ją — obawą błędów, które niesie, pozorów, które stwarza.

Każde dziecko przeżywa okresy starczego znużenia i pijanej pełni czynności życiowych, ale to nie znaczy, że należy ulegać i ochraniać, nie znaczy, że należy walczyć i hartować. Serce nie nadąża za wzrostem, więc dać mu spoczynek, a może pobudzać do żywszego działania, by wzmocniło się, wzrosło. To zagadnienie można rozwiązać tylko w każdym przypadku i w danym momencie, trzeba jednak, byśmy zdobyli zaufanie dziecka, a ono zasługiwało na wiarę.

A przede wszystkim trzeba, żeby nauka wiedziała.

105

Trzeba poddać gruntownej rewizji to wszystko, co przypisujemy dziś okresowi dojrzewania, z którym liczymy się poważnie, i to jest słuszne, ale czy nie przesadnie, jednostronnie, a głównie, bez podziału wchodzących w jego skład czynników? Czy poznanie uprzednich etapów rozwojowych nie pozwoliłoby obiektywniej przyjrzeć się temu nowemu, ale jednemu z wielu okresów nierównoważenia, o cechach podobnych do uprzednich, odbierając mu niezdrową tajemniczą wyjątkowość? Czy nie przystroiliśmy nieco sztucznie dojrzewającej młodzieży w taki sam uniform nierównoważenia i niepokoju, jak dzieci — pogody i beztroski, czy nie udziela się jej ta sugestja? Czy nasza bezradność nie wpływa na burzliwość przebiegu? Czy nie zbyt wiele o budzącem się życiu, jutrzni, wiosnie i porywach, a nie zbyt mało faktycznych danych nauki?

Co przeważa: czy zjawisko ogólnego bujnego wzrostu, czy tylko rozwoju poszczególnych narządów? Co zależne jest od zmian w systemie krwionośnym, sercu i naczyniach, od upośledzonej czy jakościowo zmienionej oksydacji tkanek mózgu i ich odżywiania, a co od rozwoju gruczołów, strun głosowych i uwłosienia skóry?

Jeśli zjawiska pewne wywołują panikę wśród młodzieży, rażąc boleśnie, zbierając bogate żniwo ofiar, łamiąc szeregi i niosąc zniszczenie, to nie, że tak być musi, ale że tak się dzieje w dzisiejszych warunkach socjalnych, że wszystko sprzyja takiemu przebiegowi tego ułamka życiowej orbity.

Łatwo poddaje się panice żołnierz znużony; łatwiej gdy nieufnie patrzy na tych, którzy go prowadzą, podejrzewając zdradę lub widząc niezdecydowanie kierowników; jeszcze łatwiej, gdy dręczy go niepokój, niewiedza, gdzie jest, co przed nim, co z boków i za nim; najłatwiej gdy atak spada niespodzianie. Samotność sprzyja panice, zwarta kolumna, ramię przy ramieniu, wzmaga spokojną odwagę.

Młodzież znużona wzrostem i samotna, bez rozumnego kierownictwa, zabłąkana w labiryncie życiowych zagadnień, spotyka się nagle z wrogiem, mając przesadne pojęcie o jego kruszącej potędze, nie wiedząc, skąd się wziął, jak się ukryć i bronić.

Jeszcze jedno pytanie:

Czy nie mieszmamy patologii okresu dojrzewania z fizjologią, czy poglądu naszego nie zbudowali lekarze, widząc tylko *maturitas difficilis*, dojrzewanie trudne, nie normalne? Czy nie powtarzamy błędu z przed stu lat, gdy wszystkie niepożądane objawy u dziecka do trzech lat przypisywano ząbkowaniu? Co dziś pozostało z legendy o „ząbkach”, to może za sto lat zostanie: legendy o „dojrzewaniu płciowem”.

Badania Freuda nad życiem seksualnym dzieci splamiły dzieciństwo, ale czy nie oczyściły tem samym młodzieży? Rozwianie się ukochanego złudzenia o niepokalanej bieli dziecka rozwiało inne dręczące złudzenie: że nagle „obudzi się w niem zwierzę i rzuci w bagno”. Pomieściłem ten obiegowy frazes, by tem silniej podkreślić, jak fatalistyczny jest nasz pogląd na ewolucję popędu, tak związanego z życiem, jak wzrost.

Nie jest plamą mgławica rozproszonych uczuć, którym tylko świadoma lub bezwiedna deprawacja nadaje kształt przedwcześnie; nie jest plamą i nikle zrazu „coś”, które powoli i w ciągu szeregu lat coraz wyraźniej zabarwia uczucia dwu płci aż do chwili, gdy w momencie dojrzałości popędu i zupełnej dojrzałości narządów, nastąpi poczęcie nowej żywej istoty, następcy w szeregu pokoleń.

Dojrzałość płciowa: ustrój gotów jest, by bez szkody dla własnej pomyślności dać zdrowego potomka.

Dojrzałość *popędu* płciowego: wyraźnie skryształizowane pożądanie normalnego połączenia z osobnikiem odmiennej płci.

U młodzieży męskiej życie płciowe rozpoczyna się niekiedy wcześniej nawet, niż dojrzej popęd; u dziewcząt wikła się, zależnie od przypadku małżeństwa lub gwałtu.

Zagadnienie trudne, ale tem nierozumniejsza jest beztroska, gdy dziecko nic nie wie, i zadąsanie, gdy się czegoś domyśla.

Czy nie dlatego odpychamy je brutalnie, ilekroć pytanie jego wkracza w zakazaną dziedzinę, by onieśmielone — w przyszłości nie odważyło się do nas zwracać, gdy nietylko przeczuwać, ale i odczuwać zacznie?

107

Miłość. Wzięła ją w arenę sztuka, przypięła skrzydła, a na nie zarzuciła kaftan wariata, naprzemian klękała przed nią i prała po pysku, sadzała na tronie i kazała na rogu ulicy kiwać na przechodniów, popełniła sto nonsensów adoracji i pohańbień. A łysa nauka, włożywszy na nos okulary, wtedy uznawała ją za godną uwagi, gdy mogła badać jej ropnie. Fizjologia miłości ma tylko jednostronne: „służy do zachowania gatunku”. Tego trochę za mało, za ubogo. Astronomia wie więcej, niż to, że słońce świeci i grzeje.

I stało się, że miłość jest naogół brudna i narwana, a zawsze podejrzana i śmieszna. Godne szacunku jest tylko przywiązanie, które zawsze przychodzi po wspólnym urodzeniu prawego dziecka.

Więc śmiejemy się, gdy sześciolatek oddaje dziewczynce własnego pół ciastka; śmiejemy się, gdy dziewczynka piecze raka w odpowiedzi na ukłon uczniaka. Śmiejemy się, zdybawszy sztubaka, gdy wpatruje się w jej fotografię; śmiejemy się, że skoczyła, by otworzyć drzwi korepetytorowi brata.

Ale marszczymy czoło, gdy on i ona jakoś za cicho się bawią lub mocując się przewrócili na ziemię zdyszani. Ale wpadamy w gniew, gdy miłość córki lub syna staje w poprzek naszym zamiarom.

Śmiejemy się, bo daleko, chmurzymy, bo się zbliża, oburzamy, gdy psuje rachunek. Ranimy dzieci drwiną i podejrzeniem, bezczestimy uczucie, nie dające dochodu.

Więc kryją się, ale kochają.

Kocha ją, bo ona nie taka gęś, jak wszystkie, bo wesoła, bo nie klóci się, bo ma rozpuszczone włosy, bo niema ojca, bo taka jakaś miła.

Kocha go, bo on nie taki, jak te wszystkie chłopaki, bo nie łobuz, bo śmieszny, bo mu się oczy świecą, bo ma ładne imię, bo taki jakiś miły.

Kryją się i kochają.

Kocha ją, bo podobna do anioła na obrazie w bocznym ołtarzu, bo ona czysta, a on był umyślnie na jednej ulicy, by zobaczyć jedną „taką” przed bramą.

Kocha go, bo on zgodziłby się ożenić pod jednym warunkiem: rozbierać się w tym samym pokoju, przenigdy. Całowałby ją dwa razy na rok w rękę, a raz na prawdę.

Doznają wszystkich uczuć miłości prócz jednego, którego brutalne podejrzenie dźwięczy w szorstkiem:

— Zamiast romansować, lepiejbyś... Zamiast sobie miłościami głowę zawracać, by-
łoby lepiej...

Dlaczego wysłedzili i szcują?

Czy źle, że kocha? Nawet nie kocha, a tylko bardzo lubi. Czy więcej od rodziców?
Może to właśnie jest grzechem?

Jeśliby ktoś z nich musiał umrzeć? Boże, przecież ja proszę o zdrowie dla wszystkich.

Miłość w okresie dojrzewania nie jest niczem nowem. Jedni kochają już dziećmi bę-
dąc, drudzy jako dzieci już drwią z miłości.

— Ona jest twoja facetka; czy ona ci pokazała?

I chłopiec chcąc dowieść, że niema facetki, umyślnie jej nogę podstawia albo pociąga
boleśnie za warkocz.

Czy wybijając z głowy przedwczesną miłość, nie wbijamy przedwczesnej rozpusty?

108

Okres dojrzewania, jakgdyby wszystkie poprzednie nie były też dojrzewaniem stopnio-
wym, raz wolniejszym, raz żywszem. Przyjrzyjmy się krzywej wagi, a zrozumiemy znu-
żenie, niezgrabność, lenistwo, zadumania półsenne, zwiewne półtony, bladość, ospałość,
brak woli, kapryśność, niezdecydowanie, cechujące ten wiek, powiedzmy „dużego nie-
zrównoważenia” dla odróżnienia go od uprzednich.

Wzrost jest pracą, ciężką pracą ustroju, a warunki życia nie złożą jej w ofierze ani
jednej szkolnej godziny ni jednego dnia fabrycznego. A jak często przebiega, jako stan
blizki choroby, bo przedwczesny, bo zbyt nagły, bo z uchYLENIEM od normy.

Pierwszy perjod jest dla dziewczynki tragedją, bo ją wyuczono przerażenia na widok
krwi. Rozwój piersi ją smuci, bo nauczono wstydzic się swej płci, a piersi ją demaskują,
wszyscy wokoło widzieć będą, że jest dziewczyną.

Chłopiec, który fizjologicznie przeżywa to samo, psychicznie inaczej reaguje. On czeka
z utęsknieniem na pierwszy mech wąsów, bo mu to zapowiada, obiecuje, i jeśli się wstydzi
piejącego głosu i wiatrakowatych rąk to, że jeszcze nie gotów, że jeszcze musi czekać.

Czy nie dostrzeżliście zazdrości i niechęci upośledzonych dziewcząt do uprzywilejo-
wanych chłopców. Tak, dawniej gdy ją karano, był zawsze bodaj cień winy, a tu, czem
winna, że nie jest chłopcem?

Dziewczęta wcześniej zaczynają się przeobrażać i radośnie manifestują ten swój jedyny
przywilej.

— Ja jestem prawie dorosła, a ty jeszcze smarkacz. Ja za trzy lata mogę już wyjść za
mąż, a ty wciąż będziesz siedział nad książką.

Miły towarzysz zabaw dziecięcych otrzymuje wzgardliwy uśmiech.

— Wyjdiesz za mąż, ale czy ciebie kto weźmie? Ja bez małżeństwa zyskuję prawa.

Ona wcześniej dojrzewa do miłości, on do miłostki, ona do małżeństwa, on do knajpy,
ona do macierzyństwa, on do czepienia się z samicą „na wzór much — mówi Kuprin, co
na sekundę zlepiły się na ramie okiennej, a potem w głupowatym zdziwieniu poskrobały
się łapkami po karku i rozleciały na wieki”.

Nowe zabarwienie otrzymuje teraz dawna niechęć sztuczna dwu płci, by niezadługo
znów zmienić oblicze, gdy ona się kryje, a on na nią poluje, by utrwalić się w wrogim
stosunku do małżonki, która mu jest ciężarem, odbiera mu przywileje, sama je zyskując.

109

Fatalne zabarwienie otrzymuje dawna tajona niechęć do otoczenia dorosłych.

Zjawisko tak częste: dziecko zawiniło, stłukło szybę, Powinno mieć poczucie wi-
ny. Gdy mu czynimy słuszne wymówki, rzadziej spotkamy skruchę, niż bunt, gniew
w zmarszczonych brwiach, spojrzaniach z podpełba rzucanych. Dziecko chce, by wycho-
wawca właśnie wtedy okazał mu życzliwość, gdy winne, gdy złe, gdy je spotkało nieszczę-
ście. Zbita szyba, wylany atrament, podarte ubranie, to nieudane przedsięwzięcie, choćby
wbrew ostrzeżeniu czynione. A dorośli, straciwszy w złe obliczonej imprezie, jak przyjmą
dąsy, gniew i połajania?

Ta niechęć do surowych i bezwzględnych panów istnieje wówczas, gdy dziecko uważa
dorosłych za istoty wyższe od siebie. Nagle, chwytą ich na gorącym uczynku.

— Acha, więc to tak, więc to jest wasza tajemnica, więc ukrywaliście, a było się czego wstydzić.

Słyszało i dawniej, ale nie wierzyło, miało wątpliwości, nie obchodziło go to. Teraz chce wiedzieć, ma się od kogo dowiedzieć, potrzebna mu ta wiadomość do walki z nimi, wreszcie samo czuje się już wplątane w tę sprawę. Dawniej było: „tego to nie wiem, ale to wiem z pewnością”, teraz wszystko jest jasne.

Więc można chcieć a nie mieć dzieci, więc dlatego może panna mieć dziecko, więc można nie rodzić, jeśli się nie chce, więc za pieniądze, więc choroby, więc wszyscy?

A oni żyją i nic, oni się między sobą nie wstydzą.

Ich uśmiechy, spojrzenia, zakazy, obawy, zakłopotanie, półsłówka, wszystko niejasne dawniej, staje się teraz zrozumiałe i wstrząsająco prawdziwe.

— Więc dobrze, porachujemy się teraz.

Nauczycielka polskiego sztrzeła oczami do matematyka.

— Chodź: coś ci powiem do ucha.

I śmiech złego tryumfu, i podglądanie przez dziurkę od klucza, i rysunek gorejącego serca na bibule albo na tablicy.

— Stara się wystroiła. Stary się mizdrzy. Stryj bierze pod brodę i mówi: „a to smarkacz dopiero”.

Nie, już nie smarkacz, — „ja wiem”.

Oni jeszcze udają, jeszcze próbują kłamać, więc tropić, demaskować oszustów, mścić się za lata niewoli, za kradzioną ufność, za wymuszone pieśczęty, za wyłudzone zwierzenia, za nakazany szacunek.

Szanować? Nie, pogardzać, drwić, pomiatać. Walczyć z nienawistną zależnością.

— Nie jestem dzieckiem. Co myślę, to moja rzecz. Trzeba mnie było nie rodzić. Zazdrości mi mama? Dorośli też nie tacy święci.

Lub udawać, że się nie wie, korzystać, że otwarcie nie odważą się powiedzieć, i tylko drwiącym spojrzeniem i półuśmiechem mówić: „wiem”, gdy usta mówią:

— Nie wiem, co w tem złego, nie wiem, czego chcecie.

IIO

Należy pamiętać, że dziecko jest niekarne i złośliwe nie dlatego, że „wie”, ale że cierpi. Pogodna domyślność jest pobłażliwa, gdy drażliwe znużenie jest zaczepne i drobiazgowie.

Byłoby błędem sądzić, że rozumieć to znaczy, uniknąć trudności. Ile razy wychowawca współczując, musi tłumić swe dobre uczucia, musi poskramiać wybryki, by zachować karność czynów dziecka, choć niema jej w myślach. Tu wystawione bywa na ciężką próbę duże przygotowanie naukowe, duże doświadczenie i równowaga.

— Ja rozumiem i przebaczam, ale ludzie, świat nie przebaczą.

Na ulicy musisz się zachowywać przyzwoicie, powściągać od zbyt burzliwych przejawów wesołości, nie dawać ujścia atakom gniewu, powstrzymywać się od uwag i sądów, starszym okazywać szacunek.

Bywa trudno, ciężko przy dobrej woli i myślowym wysiłku; a czy dziecko znajduje warunki bezstronnego rozważania w domu rodzinnym?

Jego lat 16, to rodziców lat z górą 40, wiek bolesnych refleksji, niekiedy ostatni protest własnego życia, chwila gdy bilans przeszłości wykazuje wyraźny deficyt.

— Co ja mam z życia? — mówi dziecko.

— A co ja miałam?

Przecucie mówi, że na loterii życia i ono nie wygra, ale myśmy już przegrali, gdy ono ma nadzieję i dla tej złudnej nadziei rwie się w przyszłość, nie dostrzegając obojętne, że nas grzebie.

Czy pamiętacie tę chwilę, gdy gaworzeniem zbudziło was ze snu wczesnym rankiem? Wtedy zapłaciliśmy sobie za trud pocałunkiem. Tak, za piernik otrzymywaliśmy klejnot uśmiechu wdzięcznego. Pantofelki, kapturek, śliniaczek, takie to wszystko tanie, miłe, nowe, ucieszne. A teraz drogie wszystko, niszczy się szybko, a w zamian nic, nawet, dobrego słowa. Ile to-to zedrze zelówek w pogoni za ideałem, jak szybko wyrasta, nie chcąc nic nosić na wyrost.

— Masz na drobne wydatki...

Musi się zabawić, ma swoje małe potrzeby. Przyjmuje z oschłym przymusem, jak jałmużnę od wroga.

Ból dziecka boleśnie uraża ból rodziców, cierpienie rodziców niebacznie uderza w ból dziecka, jeśli starcie jest tak silne, o ile byłoby silniejsze, gdyby dziecko wbrew naszej woli, samo w samotnym wysiłku, nie przygotowało się z wolna, że nie jesteśmy wszechmocni, wszechwiedzący i doskonali.

III

Gdy się uważnie wpatrzeć nie w zbiorową duszę dzieci tego wieku, a w jej części składowe, nie w gromadę, a w indywidualia, widzimy znów dwie biegunowo różne organizacje.

Odnajdujemy to, które cicho kwiliło w kołysce, powoli unosiło się o własnej sile, oddawało bez protestu biskopowi, zdala przyglądało się bawiącym w koło, a teraz ból i bunt topi w łzach niedostrzeganych nocą.

Odnajdujemy to, które siniało w krzyku, na chwilę nie można go było bez trwogi zostawić samego, wydzierało rówieśnikowi piłkę, przewodziło: „no, kto się bawi, prędziej, bierzcie się za ręce”, a teraz narzuca swój program buntu i czynny niepokój rówieśnym, całemu społeczeństwu.

Mozolnie szukałem wytłumaczenia tej bolesnej zagadki, że w zbiorowym życiu i młodości i dorosłych, tak często myśl uczciwa kryć się musi lub cicho perswadować, gdy buta rozbija się krzykliwie; że dobroć jest synonimem głupoty lub niedołęstwa. Jak często ważny działacz społeczny i sumienny polityk, sam nie wiedząc czemu ustępuje, znalazłby wytłumaczenie w słowach Jelenty:

— Ja nie posiadam czelnej gęby dla odpowiadania na ich koncepty i złośliwości i nie umiem rozmawiać i rozumować z tymi, co mają na wszystko gotową pyską odpowiedź alfonsów.

Co robić, aby w krążących sokach zbiorowego organizmu równe zająć mogli miejsca czynni i bierni, by w nim swobodnie krążyły pierwiastki wszystkich płodnych terenów.

— Ja tego nie daruję. Już wiem, co zrobię. Dostyc mam tego dobrego, mówi czynny bunt.

— Daj lepiej spokój. Po co ci to? Może ci się zdaje tylko.

Te proste zdania, wyrazy uczciwego wahania lub szczerzej rezygnacji, działają kojąco, mają większą moc, niż kunsztowna frazeologia tyranji, którą rozwijamy my dorośli, chcąc ujarzmić dzieci. Rówieśnika nie wstyd posłuchać, ale dać się przekonać dorosłemu, a tem bardziej wzruszyć, to dać się podejść, oszukać, przyznać do własnego ubóstwa; niestety mają słuszność, nie ufając nam.

Ale jak, powtarzam osłonić refleksję przed zachłanną ambicją, ciche rozważanie od krzykliwego argumentu, jak nauczyć odróżniać ideję od „pozoru i karjery”, jak osłonić dogmat od drwiny i młodzieńczą ideję od doświadczonej zdradzieckiej demagogii.

Dziecko wstępuje krokiem naprzód w życie, nie w płciowe życie, dojrzewa, nie płciowo dojrzewa.

Jeśli zrozumiesz, że żadnego z zagadnień nie zdołasz rozwiązać sam bez ich udziału, jeśli im powiesz to wszystko, co tu powiedziane, a po skończonem zebraniu usłyszysz:

— No bierni, idziemy do domu.

— Nie bądź taki czynny, bo w łeb dostaniesz.

— Te, teren dogmatyczny, zabrałeś moją czapkę...

Nie sądz, że drwią, nie mów: nie warto...

II2

Marzenia.

Zabawa w Robinsona zmieniła się w marzenie o podróży, zabawa w zbójców, w marzenie o przygodach.

Znów nie wystarczy życie, więc marzenie jest ucieczką od niego. Brak materiału do myślenia, zjawia się jego forma poetycka. W marzenia wpływają uczucia, które nie znajdują ujścia. Marzenie jest programem życia. Gdybyśmy je umieli odczytywać, widzielibyśmy, że marzenia się spełniają.

Jeśli chłopak z ludu marzy, by zostać lekarzem, a zostaje posługaczem szpitalnym, to wypełnił swój program życiowy. Jeśli marzy o bogactwach, a umiera na tapczanie, to tylko pozorne rozbicie marzeń: on nie marzył o pracy zdobywania, a o rozkoszach trwonienia; marzył o spijaniu się szampanem, a spijał szpagatówką, marzył o salonach, a hulał w szynkowni; chciał rozrzucić złoto, ale rozrzucił miedziaki. Marzył, by zostać księdzem a jest nauczycielem, nie, tylko stróżem domu; ale został księdzem, jako wychowawca, księdzem, jako stróż.

Marzyła, że jest groźną królową; a czy nie tyranizuje męża i dzieci, wyszedłszy za mąż za drobnego urzędnika? Marzyła że jest ukochaną królową; a czy nie króluje w szkółce ludowej? Marzyła, że jest sławną królową; czy nie zdobyła rozgłosu, jako niezwykła, wyjątkowa szwaczka czy buchalterka?

Co pcha młodzież do artystycznej cyganerii? Jednych rozwiążność, drugich egzotyckość, trzecich impet, ambicja, kariera; a tylko ten jeden kocha sztukę, ten jeden z całego grona jest naprawdę artystą, ten jeden sztuki nie sprzedaje; umarł w nędzy i zapomnieniu, ale on marzył o zwycięstwie, a nie o zaszczytach i złocie. Przeczytajcie „Twórczość” Zoli; życie jest bardziej logiczne, niż sądzimy.

Marzyła o klasztorze, znalazła się w domu rozpusty, ale pozostała siostrą miłosierdzia, która poza urzędowymi godzinami pielęgnuje chore towarzyszek, koi ich smutki i cierpienia. Inna pragnęła się bawić i bawi się doskonale w przytułku dla rakowatych, aż umierający się uśmiecha, słuchając jej paplaniny, śledząc dogasającym wzrokiem za jej pogodną postacią...

— Nędza.

Uczony o niej *myśli*, badając, projektując, tworząc teorie i hipotezy; młodzieniec *marzy*, że buduje szpitale, rozdaje jałmużnę...

W marzeniach dzieci jest Eros, do czasu niema w niej Wenera. Szkodliwą jest jednostronna formuła, że miłość, to egoizm gatunku. Dzieci kochają osoby tej samej płci, starców, ludzi nigdy nie widzianych, nawet nieistniejących. Nawet doznając już uczuć pożądania, długo jeszcze kochają ideał, nie ciało.

Potrzeba walki, ciszy, gwaru, pracy, ofiary; chęć posiadania, używania, poszukiwań; ambicja, naśladownictwo bierno, wszystko to znajduje wyraz w marzeniu, niezależnie od jego formy.

Życie urzeczywistnia marzenia, ze stu marzeń młodzieńca lepi jeden posąg rzeczywistości.

II3

Pierwsze stadium okresu dojrzewania: wiem, ale jeszcze nie czuję, odczuwam, ale jeszcze nie wierzę, sądzę surowo, co czyni przyroda z innymi; cierpię, bo mi grozi, nie mam pewności, że uniknę. Ale jestem bez winy, gardząc nimi, o siebie tylko się boję.

Drugie stadium: w śnie, w półśnie, w marzeniu, w podnieceniu zabawy, wbrew oporowi, wbrew obrzydzeniu, wbrew nakazowi, coraz częściej i wyraziściej wyłania się uczucie, które do bolesnego konfliktu z światem zewnętrznym dorzuca ciężar konfliktu z samym sobą. Myśl odpychana gwałtem się narzuca, jak zapowiedź choroby, jak pierwszy dreszcz gorączki. Istnieje okres inkubacyjny seksualnych uczuć, które dziwią i płoszą, potem budzą trwogę i desperację.

Epidemia szeptanych z chichotem tajemnic dogasa, lechzące pikanterje tracą urok, dziecko wchodzi w okres zwierzeń; przyjaźń się pogłębia, piękna przyjaźń zbłąkanych w gęstwi życia sierot, które przysięgają, że się wspierać będą, nie opuszczą, nie rozłączą w niedoli.

Dziecko, samo nieszczęśliwe, teraz już nie wyuczoną formułką i ponurym niepokojem zdziwienia, ale gorącym współczuciem zwraca się do każdej nędzy, cierpienia, upośledzenia. Zbyt zajęte i stroskane o siebie, nie może się zbyt długo rozczulać nad innymi, ale znajdzie chwilę i łzę dla uwiedzionej dziewczyny, obitego dziecka, zakutego skazańca.

Każde nowe hasło, idea i mocny frazes, znajdują w niem czujnego słuchacza i gorącego stronnika. Książkę nie czyta a pije, jak nałogowiec, i modli się o cud! Dziecięcy Bóg-bajka, później Bóg-winowajca, pra-źródło wszystkiego nieszczęścia i występku. Ten, który może

a nie chce, powraca, jako Bóg, potężna tajemnica, Bóg, przebaczenie, Bóg, rozum ponad słabą myśl ludzką, Bóg, przystań cicha w godzinę huraganu.

Dawniej: „jeśli dorośli zmuszają do modlitwy, to widocznie i modlitwa jest kłamstwem; jeśli ganią przyjaciela, widać on właśnie wskaże mi drogę”, bo jakże można im ufać? Dziś inaczej: wroga niechęć ustępuje miejsca współczuciu. Określenie „święństwo” nie wystarcza: tu kryje się coś nieskończenie bardziej złożonego. Ale co? Książka tylko pozornie, na chwilę rozprasza wątpliwości, rówieśnik sam słaby i bezradny. Jest chwila, gdy można znów dziecko odzyskać, ono czeka, ono chce wysłuchać.

Co mu powiedzieć? Byle nie o tem, jak się zapładniają kwiaty i mnożą hipopotamy, i nie, że szkodliwy jest onanizm. Dziecko czuje, że tu idzie o coś znacznie ważniejszego, niż czystość palców i prześcieradła, że tu waży się jego teza duchowa, całokształt jego odpowiedzialności życiowej.

Ach, znów być dzieckiem niewinnem, które wierzy, ufa, nie myśli.

Ach, być dorosłym nareszcie, uciec od wieku „przejściowego”, być jak oni, jak wszyscy. Ach, klasztor, cisza, rozmyślania nabożne.

Nie, sława, czyny bohaterskie.

Podróże, zmiana obrazów i wzruszeń. Tańce, zabawy, morze, góry.

Śmierć najlepsza; bo poco żyć, poco się męczyć?

Wychowawca zależnie od tego, co przygotował na tę chwilę w ciągu długiego szeregu lat, baczenie przyglądając się dziecku, może mu dać program tego, jak poznać siebie, jak siebie zwyciężać, jakiego użyć wysiłku, jak poszukiwać własnej drogi życia.

II4

Bujna swawola, pusty śmiech, wesołość młodości.

Tak, radość, że się jest w kupie, tryumf śnionego zwycięstwa, niedoświadczony wybuch wiary, że naprzekór rzeczywistości, poruszymy z posad ziemię.

— Tyłu nas, tyle młodych twarzy, zaciśniętych pięści, tyle zdrowych kłów, nie damy się.

Kieliszek czy kufel rozprasza resztę wątpliwości.

Śmierć staremu światu, za nowe życie, vivat!

Nie dostrzegają jednego, który lekko zmrużonemi powiekami drwi: „durnie”, nie widzą drugiego, który smutnymi oczami mówi: „biedni”, nie widzą trzeciego, który pragnie skorzystać z chwili i coś zapoczątkować, złożyć jakąś przysięgę, by szlachetne podniecenie nie utonęło w orgji, nie rozproszyło znów w wykrzyknikach bez treści...

Często zbiorową wesołość uważamy za nadmiar energii, gdy jest tylko przejawem drażliwego znużenia, które przez chwilę nie czując więzów, podnieca się w złudzeniu. Przypomnij wesołość dziecka w wagonie kolejowym, które nie wiedząc jak długo i dokąd jedzie, niby zadowolone z wrażeń, kapryśne ich nadmiarem i oczekiwaniem tego, co będzie, kończy wesoły śmiech gorzkimi łzami.

Wytłomacz, dlaczego obecność dorosłych „psuje zabawę”, krępuje, wnosi przymus...

Uroczystość, pompa, poważny nastrój, dorośli tak umiejętnie wzruszeni, tak zgrani z chwilą. A takich dwoje, spojrzą sobie w oczy i duszą się, konają ze śmiechu, wysilają się do łez, by nie wybuchnąć i nie mogąc powstrzymać się od przekornej chętki, by trącić łokciem, szepnąć złośliwą uwagę, zwiększając niebezpieczeństwo skandalu.

— Tylko pamiętaj się nie śmiać. Tylko się nie patrz na mnie. Tylko mnie nie śmiesz.

A po uroczystości:

— Jaki ona miała nos czerwony. Krawat mu się przekręcił. Mało się nie rozplynęli. Pokaż: ty to tak dobrze robisz.

I nieskończone opowiadanie, jakie to było śmieszne...

Jeszcze jedno:

— Oni myślą, że mi wesoło. Niech myślą. Jeszcze jeden dowód, że nas nie rozumieją...

Ochocza praca młodości. Jakieś przygotowania, mocny wysiłek, czyn o wyraźnym celu, gdy potrzebny pośpiech rąk i wynalazczość umysłu. Tu młodzież jest w swoim żywiole, tu ujrzyś zdrową wesołość i pogodne podniecenie.

Planować, postanowić, zmordować się, wykonać, śmiać się z nieudanych prób i pokonanych trudności.

II5

Młodość jest szlachetna.

Jeśli nazwiecie odwagą, że dziecko przechyla się z okna czwartego piętra bez trwogi; jeśli nazwiecie dobrocią, że dało kulawemu dziadkowi złoty zegarek, który mama zostawiła na stole; jeśli nazwiecie zbrodnią, że rzuciło w brata nóż i wybiło mu oko, to zgoda, młodzież jest szlachetna, nie mając doświadczenia w ogromnej jak pół życia dziedzinie, pracy zarobkowej, hierarchji społecznej i praw życia towarzyskiego.

Niedoświadczeni, sądzą, że można okazywać życzliwość lub niechęć, szacunek lub pogardę, zależnie od uczuć żywionych.

Niedoświadczeni, sądzą, że można dobrowolnie nawiązywać i zrywać stosunki, ulegać lub lekceważyć przyjęte formy, godzić się lub wyłamywać z pod praw zwyczajowych.

— Gwiżdżę, pluję, nie dbam, niech sobie mówią, nie chcę i już, a mnie co do tego?

Zaledwie zaczerpnęli tchu, wydarłszy się częściowo z pod władzy rodziców, a tu nowe więzy, hola!

Dlatego, że ktoś bogaty czy jaśnie wielmożny, dlatego że się wspiał bez zasługi, dlatego, że ktoś gdzieś coś może pomyśleć czy powiedzieć?

Kto uczy młodzież, jakie kompromisy są koniecznością życiową, a jakich można uniknąć i za jaką cenę, jakie sprawiają ból, ale nie szargają, jakie znieprawiają. Kto wskazuje granice, w których obłuda jest przyzwoitością nie spluwania na podłogę, nie wycierania nosa w obrus, a nie występkiem.

Mówiliśmy dziecku:

— Śmiać się będą.

Trzeba teraz dodać: i zagłódzą.

Powiadacie: idealizm młodzieży. Złudzenie, że zawsze można przekonać i wszystko poprawić.

I cóż robicie z tą szlachetnością? Tępicie ją ze szczerem we własnych dzieciach i czochacie lubieżnie o idealizm, wesołość i wolność bezimiennej „młodzieży”, jak dawniej, o niewinność, wdzięk i miłość własnych dzieci. I stwarza się złudzenie, że ideał, to taka sama choroba jak świnka lub ospa wietrzna, że jest takim sobie niewinnym obowiązkiem, jak odwiedziny galerji obrazów w podróży poślubnej.

I ja byłem farysem. Widziałem Rubensa.

Szlachetność nie może być mgłą poranną, a snopem promieni. Jeśli nas niestać jeszcze, wychowujemy na razie tylko ludzi uczciwych.

II6

Szczęśliwy autor, który kończąc pracę, ma świadomość, że powiedział w niej to, co wie, wyczytał, według stwierdzonych ocenił wzorów. Oddając do druku, ma spokojne uczucie zadowolenia, że dojrzałe, zdolne do samodzielnego życia powołał dziecię. Bywa inaczej: nie widzi czytelnika, który żąda przeciętnej nauki z gotową receptą i jej użycia wskazaniem. Tu proces tworzenia jest zaszuchaniem się we własne nieustalone, niedowiedzione, nagle wyłaniające się myśli. Tu zakończcie pracy, chłodny bilans, bolesne zbudzenie się ze snu. Każdy rozdział spogląda wyrzutem, że porzucony, zanim się stał. Ostatnia myśl książki nie jest zakończeniem całości, i dziwi, że już, że nic więcej?

Dodać więc? Znaczyłoby raz jeszcze rozpocząć, odrzucić, co wiem, spotkać nowe zagadnienia, których się ledwo domyślam, napisać nową książkę, równie niedokończoną.

Dziecko w życie matki wnosi cudną pieśń milczenia. Od ilości godzin, które spędza przy niem, gdy ono nie domaga się a żyje, od myśli, które osnuwa je pracowicie, zależna jest jej treść, program, siła, twórczość, matka w cichej kontemplacji dojrzewa dzieckiem do natchnień, których praca wychowawcza żąda.

Nie z książki, a z siebie. Wówczas każda książka stanie się drobną wartością; a moja spełniła zadanie, jeśli o tem przekona.

W mądrej samotności czuwaj...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dziecko-w-rodzynie/>

Tekst opracowany na podstawie: Janusz Korczak, Jak kochać dziecko. Dziecko w rodzinie, Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, Warszawa 1919.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Publikację wsparli i wsparły: Tony, Jan Domański, J. Pszeniczn, Daria, Dudojć, M.Karasinska, Joanna Rudniańska, Anna Zagala, Ludwik Trammer, Milupa, krst, Marcin Gryszkalis, Ewa i Karol Jalochowscy, Tomasz Żukowski, Paweł Leszczyński, pani kazia, Krystyna Kolwas, Angelika Reszczyk, Adam W., Jacek Markowicz, Linka, Ścibi, Mikołaj, Bożena Michalska, Monika, Anonim, Wodarek, Wojtek, Robert Anton Wilson, Katarzyna Kijanka, harc, Elżbieta Płaskowska, Darek Dzida, ms, Monia, Michał Damski, lud_las, Dominik Kozaczko, anonim, Grzegorz Siergowicki, Analfabeta, Marek W, Dawid Reinhold, Ewa Bakiera, rs, Wikiradio, Judasz - ile mam, to dam.

ISBN 978-83-288-0380-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).